Cena 8 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III — Łódź, 13 października 1946 r. — Nr 40 (68)

Jan Aleksander Król

DOŻYNKI

(List otwarty do Redaktora »Wici« *)

Kolego Redaktorze!

Szkoda, że nie byliście na Dożynkach w Opolu! Wy nieraz piszecie „nie ma prawie pola pracy, gdzieby brakło rąk chłopskiej młodzieży", nie raz piszcie „to zapóźnienie to stara śpiewka, którą słyszymy już od dawna"...



Rzeczywiście, w Opolu — przyznaję — mielibyście rację. Te dożynki pokazały, że chłopska młodzież śląska wolna jest od „zapóźnienia", wkracza na wiele nowych pól pracy. Ale, Kolego, czy dałoby się to powtórzyć o Waszych dożynkach, o tych, któreście w piśmie reżyserowali i przygotowywali w czerwcu i w lipcu, a teraz kwitujecie, zrealizowane w sprawozdaniach?

Sięgnęliście po materiały do Dożynek w przedwojenne czasy. Należało nawet tak postąpić, ale nie poprzestać całkowicie i wyłącznie na tamtych, wczorajszych wzorach. Byłby świetny materiał porównawczy. Nie przyszło Wam jednak do głowy ukazać to, czego warstwie chłopskiej brak było przez wiek całe — historii. Nie przypuszczam, abyście twierdzili, że między wczoraj a dzisiaj nie zaszły przemiany. Przeciwnie, z Waszych ujęć wynika, że one są kolosalne, większe nad moje obliczenia. No, a w Dożynkach Waszego projektu wszystko po staremu. Dlaczego? Czy może dlatego, że bagatelne święto? I nie warto Wam było z zamiłowaniem uprawianej działalności politycznej ograbiać z cennego czasu? A może uważaliście, że obowiązkiem naszym jest nie marnować dziedzictwa przeszłości?

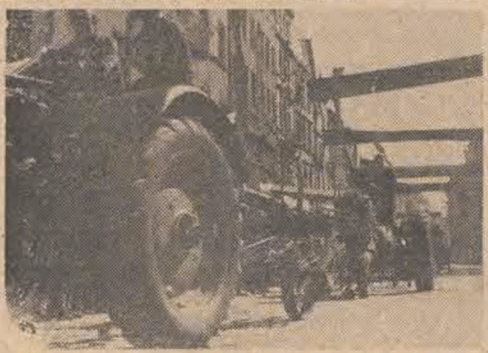
Co do pierwszego powodu, byłbym zgorszony. Dożynki są **bilansem pracy wsi.** Lekceważyć ich nie można. Drugi powód ma dla mnie wymowę. Ale tu trzeba podyskutować.

Pamiętacie, jak mówił na ostatniej sesji Krajowej Rady A. Polewka? Między 1926—30 rokiem uczył obok Solarza w Szycach. Wiciarz byli wtedy rewolucyjni i czerwoni. Wyklinano ich z ambon. Teraz — powiada — zachwalają was. Wici przestały być rewolucyjne. Wici sprzeniewierzyły się swemu dziedzictwu — **postępowi.**

Za cóż Was chwalą, czy za to, że i dziś moglibyście słuchać Adama Polewki, czy za to, że jesteście daleko od niego? Chwalą Was właśnie za to, że dziś jesteście tacy, jak wczoraj? A być wczorajszy — obecnie to nie to samo, co wczorajszy — wówczas.

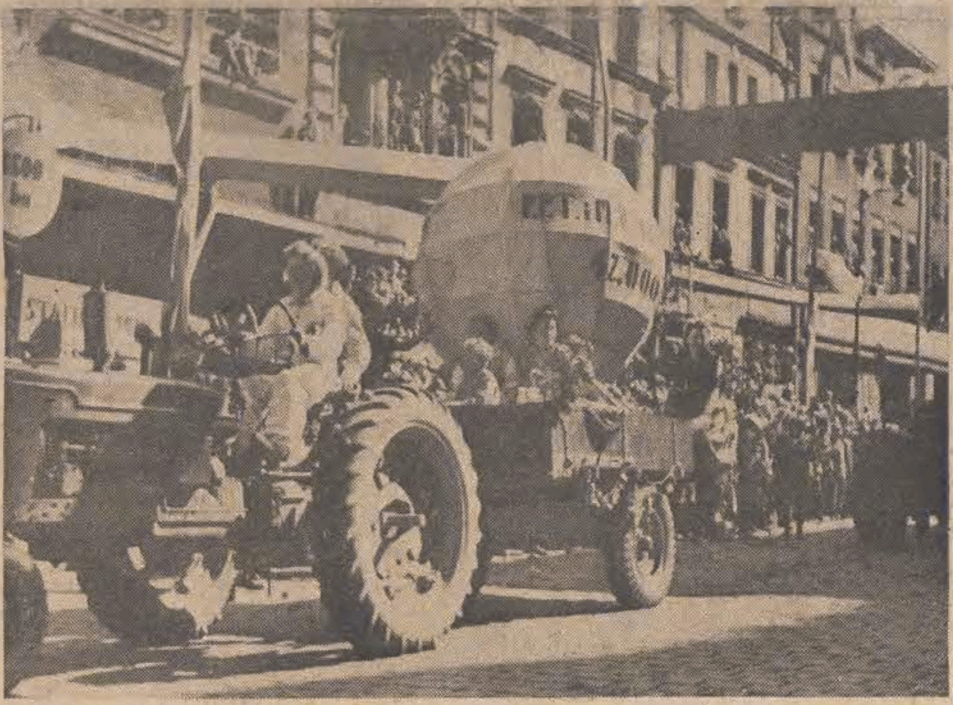
Daliście Kolego za wzór Dożynki przedwojenne. Na tamte czasy były w nich, jak zawsze bywa — elementy postępu i konserwatyzmu.

Postęp wyrażał się w zmianie starosty. Przestał być nim dziedzic. Stali się nimi ojco-



wie nasi. Ale pamiętajmy, że Związek miał tylko 100.000 członków na 6 milionów młodzieży chłopskiej. I obok wsi wiciowych jeszcze w 39 roku na 2/5-tych obszaru Polski szły dożynki pod dwór tych samych panów, z pośród których nawet najjaśniej oświeceni z przekąsem mówili o Antonach, Cabajach i Sojach, jeśli ci wdzierali się na wyższe uczelnie. Na takim tle społecznym byliście rewolucyjni. Jedna sześćdziesiąta młodzieży chłopskiej wskazywała drogę wsi, jeszcze niedowierzającej, jeszcze pogodzonej z pozycją „serdecznego ludu".

Jedna sześćdziesiąta nie niosła plonu za okowitę. Jedna sześćdziesiąta — bywało — mówiła „Krew chłopa żywi Polskę. Jeżeli ta krew będzie chora, to jakaż będzie Polska?" I to było rewolucyjne. Dorobek roku nie zapowiadał, że z niego chłop tyle zużyje, aby być mocnym dla... narodu. Przestrzegaliście, ale czy w każdej wsi, w każdej gmine? Czy cała wieś gotowa była krzyknąć: „nie poddani i wyzyskiwani, ale współgospodarze!?" Napewno — nie. Przykładem więzień brzeski — Witos. żyła wieś jego legendą, nie żyła jego obroną. Dlatego Wy byliście rewolucjonistami. Nie tylko w stosunku do reżimu, ale co najważniejsze wobec starej, tradycyjnej wsi. Przeciwstawiając się jej i odbiegając od niej chcieliście ją poszerzyć i pociągnąć za sobą. To była jedyna droga nie otrzymania, wytworzenia przez wieś mocy produkcyjnej i społecznej. Ale były również w Święcie Dożynek elementy obezwładniające Wasz postęp, uwsteczniające.



Kiedy się zamierza współgospodarzyć trzeba uwyraźnić sobie drogę do tej roli a i samą rolę. Tymczasem wystarczała najczęściej podniosła mglistość. Wystarczały przenośnie „Ty nad poziomy wylatuj". Mickiewiczowska Oda mobilizuje entuzjazm młodzieży, ale go jeszcze sama w określonej sytuacji historycznej nie **konkretyzuje.** A wyście tej pracy nie dopełnili. „Polskę pięknić i uładzić do niebieskich pował" to był wylew uczucia, który przedłużał Odę, ale jej nie wypełniał zadaniami dnia



Nie wypełniał kiedy „czasem jak dzwon zahuczał dźwięk", „przebudujem z nowa naszą Polskę całą", „dźwignąć świat, ze słońca ślad". Pozornie wskazując, złe również radziło hasło: „minęły czasy płakań, cepami teraz radzić...".

Ja was rozumiem. I nie raz już o tym pisałem, że programy, projekty, zadania nie powstają poza sferą **możliwości działania i bez działania.** Te cepy, to była gospodarcza nasza rzeczywistość i bunt społeczny w tych warunkach odwoływał się do broni tradycyjnej —



cepów, do broni bezskutecznej i dlatego mimo, że słuszny — bunt był bezsilny. Na tej naszej bezsilności budowano rachuby restauracji szlachetczyzny.

Dożynki są innego typu uroczystością, niż Święto Ludowe. Nie mają w pierwszym rzędzie wyrażać akcentów politycznych. Ale czy święto bilansu pracy wsi miało być jeszcze i w dwudziestoleciu międzywojennym uroczystością wyłącznie grupy religijnej, czy już i grupy — społecznej?

Czy mało było przyczyn, aby właśnie w tych latach warstwa chłopska dojrzała do świadomości klasowej? Zawód po Rządzie Lubelskim, po 20 roku, po nadziejach na reformę rolną, na podniesienie oświaty i dobrobytu, czy to wszystko miało ominąć Dożynki, ów coroczny obrachunek niewątpliwej własnej siły, obrachunek sumy wyprodukowanej energii, metod i narzędzi, rynku zbytu i warunków cen?

A tymczasem, nawet w tej powszechnej uroczystości to, co mogło nas podnieść społecznie: jako wynik pracy naszej warstwy, przeżywaliśmy w poczuciu **umniejszenia naszej wartości.** Sprawozdawcy podkreślali dominowanie religijnego nastroju na Dożynkach. „Sprawiłeś, że spożywać będziemy Twoje dary spraw, byśmy w przyszłe lato w weselu zbierali snopy".

Niewątpliwie, Dożynki to nie wymysł Wiciarzy, jak świetlice z książką i pismem świeckim. Ale też wojna Wiciarzy z plebaniami nie dlatego została wszczęta, że młodzi stali się niedowiarkami. Wojnę wypowiedziały plebanie, ponieważ w przeciwieństwie do starych, których życie zbiegło pod jednym wyłącznie kierownictwem — duszpasterzy, młodzi **pomnożyli źródła swej wiedzy o życiu.** Nie sprzeczność tej wiedzy z wiarą zadecydowała o wojnie. Ale poprostu zaistnienie konkurencji we wpływach na młodzież, ambicja nie utracenia monopolu na wychowanie. A przecież ambona nie dawała wyższej wiedzy rolniczej, nie uczyła walki o sprawiedliwość społeczną dla warstwy chłopskiej i częściowo nie



chciała, częściowo było to poza zakresem jej kompetencji, dlatego postęp wsi musiał doprowadzić do wytworzenia nowych instytucji, umacniających i wypełniających świadomość społeczną warstwy chłopskiej świeckimi treściami.

Dlatego na Dożynkach obok tego, co było obrzędem religijnym, a przez starą wieś oczekiwane dotąd, jako zwyczajowy rytuał, powinien zjawić się rzeczowy, świecki obrachunek: ile, dlaczego, ile w przyszłości i w jaki sposób. I powiedziałbym, Kolego, on winien dominować, nie dziękczynna litania. Dlaczego?

Dożynki przeszły już dwie epoki — słowiańską i pańszczyźnianą. Trzeba sobie zdać sprawę, że system gospodarki naturalnej panował u nas wieki, jeszcze bardzo powszechnie w 3-cim ćwierćwieczu XIX stulecia. Przy jego niezmienności hierarchia prac ustaliła się niewzruszenie. Budownictwo, odzież, urządzenia domowe i narzędzia wykonywane na miejscu, we własnym zakresie utrwaliły wzory stałe, obowiązujące powszechnie, tym samym wykluczały inowacje dotąd conajmniej, dopóki gromady wiejskie żyłyby w dużej od siebie i miast izolacji, dopóki w stopniu rozstrzygającym o przemianach nie wkroczyłaby oświata, przemysł, nowa technika i narzędzia, nowe instytucje.

Dlatego na „starej" wsi nie w zmianach **narzędzi i metod pracy,** nie w zaistnieniu nowych gospodarczych i kulturalnych instytucji widzi się jeszcze dziś drogę dla ambicji jednostkowej i zbiorowej. Dlatego nie im przypisuje się zdolność podniesienia ponad znaną, przeciętną normę wydajności produkcyjnej. Dlatego kulturę duchową i wiedzę reprezentuje nadal wyłącznie religia, nadająca nadprzyrodzoną moc wszelkim czynnościom i zjawiskom, których nie mogła opanować kiedyś wczesna, prymitywna technika rolnicza.

I stąd to wciąż nie zażegnane zagrożenie, że w Dożynkach na plan pierwszy wybije się odczucie plonów jako z nieba spadłych, a narzędzia, metody i społeczne warunki pracy umkną uwagi, bo wydają się niezmienne. Tymczasem tu właśnie leży rozwiązanie sprawy, tu wytłumaczenie dla warstwy chłopskiej, dlaczego taki stan plonu, tu wskazanie jak ten stan i jego opłacalność podnieść. Święto



kontroli pracy, święto **planu gospodarczego** na przyszłość bywało ciężarem tradycji religijnej rozbijane w proch. Ale to waszą rzeczą, Związku, było już wówczas przed laty, wywalczyć Dożynkom i ten ich **dynamiczny gospodarczo-społeczny** sens.

*) Michał Jagła, redaktor „Wici", wiceprezes Zarządu Głównego Z. M. W.

Czyście byli wierni nowatorskim celom Waszych Kół? Czy umieliście zobaczyć Dożynki w perspektywie, jaką wam otwierała w świetlicy: książka, pismo, dyskusja, radio, tzn. w perspektywie narodu i Europy, w powiązaniu ścisłym z wielkim obrotem produkcji przemysłowej, z jej środkami technicznymi podnoszącymi waszą wydajność, waszą wymianę? W powiązaniu z siłami społecznymi, jak Wy, produkcyjnymi i jak Wy w niewoli społecznej i materialnej nędzy? Bywało różnie. Ale do historii Dożynki tych lat przeniósł Jan Wiktor właśnie w **religijnym** głównie ich obrzędzie. On był obserwatorem. Bardzo wrażliwym obserwatorem.

„zabrzmiała jakby modlitwa śpiewana przed dobrym człowiekiem i przed polem pełnych darów i błogosławieństw:

żeby poszedł głód
precz od waszych wrót,
żeby czarny chleb razowy
miał rok cały biedny, wsiowy lud...

Ten właśnie urok był dominujący. Wiktor pisał: „My obcy widzowie, patrzeliśmy na to wszystko, jakby na zjawę **sprzed wieków...**"

Mam wrażenie, że w naszych oczach odrodziło się stare misterium greckiej Demetry ...Może tak samo uroczyście śpiewano pieśni wielbiące bóstwo słoneczne, dawcę wszystkich plonów i darów chlebnych".

Kolego Redaktorze, czy jeszcze i dziś podziwiacie **tylko** piękno tej sceny Dożynkowej? **Wiktokr mówił — jakby zjawa sprzed wieków, jakby misterium Demetry, jakby kult bóstwa słonecznego. Kolego, ja podziwiam Wasze smakoszostwo historyka, ale na Boga, to co opisał Wiktor to nie zagrany teatr, jako jeden z punktów programu Dożynek, to one same, to ich treść i sens społeczny w latach międzywojennych. To znaczy, Kolego, że kilkanaście lat temu „zjawa sprzed wieków" to był wykładnik świadomości** wsi polskiej, kolego, akurat wtedy, kiedy Witosa — chyba nie opatrzność — w Brześciu trzymała.

A tu Demetra, a tu bóstwo słoneczne!

Kolego, my wiemy dobrze obaj, że to się ciągnęło dla starych z kościoła, a dla młodych zaczęło od Niećki, wówczas przewodniku, jak Wy dzisiaj. Właśnie w przedwieki uwodził on wyobraźnię młodzieży wiejskiej, het, aż w pra-słowiańszczyznę, do misterium w obliczu słońca i ziemi. To się nawet podobało młodym, jakże się nie miało podobać, kiedy ten przewodnik ubezpieczał się na drugim froncie: „Tempo życia — wynalazki i wszelkie cuda techniki — to już tylko przedśmiertne, intensywne wyżywianie się — właściwe wszelkim chorym organizmom".

„Zjawa sprzed wieków" to nie miał być więc tylko teatr uczący: jak było dawniej i na ileśmy w historii postąpili. To był wzór dla współczesnego młodego pokolenia chłopów.

I ten błąd Niećki da się wytłumaczyć. W beznadziejnej gospodarczo i społecznie ówczesnej sytuacji wsi polskiej chciał dać młodzieży poczucie wartości klasowej. Wyrównywał poniżenie, przenosząc ich wyobraźnię w zamierzchłe czasy, w krainę szczęśliwej idylli wieśniaczej. Ale to był narkotyk, żywienie się zjawami, halucynacją, branie rozbratu z życiem, uciekanie od zadań, które czekały, od wierności postępowemu dziedzictwu świetlic, a jak było to tragicznym regresem kulturalno-cywilizacyjnym, niechże wam uprzytomni, Kolego Redaktorze, mowa prezydenta Szwajcarii, wygłoszona przed paru dniami. Była dana z naszej okazji. Na otwarcie w Związku wystawy **„Warszawa oskarża!"** Czyż może być coś bardziej wstrząsającego, bardziej pobudzającego do wzruszenia i szlachetnego patosu?

Prezydent Szwajcarii oddawszy hołd poległym powiedział: „Obecnie, kiedy znów, jak przed wojną, węgiel polski, przybywa **punktualnie ściśle** według umowy do naszego kraju, współpraca polsko-szwajcarska wraca na **stare tory tradycyjnej przyjaźni** dwóch narodów"!

Kolego, może to Was otrzeźwi. Szwajcarzy są religijni, ale ich prezydent i nad Warszawą zniszczoną mówi o przyjaźni dwu narodów pod tym warunkiem, że nasz węgiel puntualnie i ściśle według umowy...

Kolego, cenić nas nigdy nie będzie Zachód za „zjawy sprzed wieków", ale za ten węgiel i za punktualność, tzn. Kolego, za nasz **nowoczesny, maszynowy wysiłek produkcyjny**. To jest cena przyjaźni, to jest, co więcej cena **naszej egzystencji narodowej i naszej suwerenności.**

A Wy, Kolego, w nowej, ludowej Polsce, po reformie rolnej, po unarodowieniu przemysłu i finansów, w obliczu ziem zachodnich, Wy spowrotem — nic, kompletnie nic nie nauczeni — wyciągnęliście na tegoroczne Dożynki stary program „zjawy sprzed wieków", misterium Demetry i religijny kult dla słońca, chleba i ziemi?

I to uważacie za dziedzictwo wiciowe? I wczorajszymi będąc dziś, wydaje Wam się, że wierni zostajecie dziedzictwu wiciowemu? Może teraz wreszcie zrozumiecie sens spokojnej a żalem drążonej mowy Adama Polewki, kiedyś nauczyciela Waszych kolegów.

Jaki jest plon Waszego przygotowania Dożynek? Sprawozdania w „Wiciach" donoszą: 1) „Krakowiacy" i „Krakowianki" na koniach, wieńce żniwne i wiciarze na wozach drabiniastych z kosami, sierpami i płachtami, 2) młodzież inscenizowała swój udział w pracy żniwnej, tańczyła krakowiaka, polkę i trojaka, a najmłodsze dziewczynki zainscenizowały pieśń o chlebie. A może jeszcze to: wszyscy — **Idziem!** jeden z chłopców — **Nowizna;** dziewczęta — **Świtanie.** (To pochodzi z „Elektry", którą oglądała Kol. Solarzowa — świtanie dobroci, której prez. Szwajcarii nie wyobraża sobie inaczej jak po europejsku, my mu węgiel punktualnie, a dopiero wówczas on trojaka do „tradycyjnej przyjaźni"). 3) „Pochód żniwny wyglądał następująco: pierwszy jechał oracz, potem szedł siewca, a następnie włóczył broniarz. Po tym szli dopiero żeńcy a w końcu duży i piękny wieniec". A całość wesoło kończy „zespół Uniwersytetu Ludowego przepięknym wykonaniem mazura". Coś jak „Wesele" Wyspiańskiego i prawie tak jak **przed pięćdziesięciu laty.**

Ale piszecie na prawo i lewo, że „zapóźnienie to stara śpiewka, którą słyszymy już od dawna". Nie, Kolego, słyszeć, może słyszycie, ale rzeczy samej conajmniej nie rozumiecie. Oddawna to zapóźnienie nie zmienia się w Związku, co najgorsze i dzisiaj jeszcze, właśnie przez Was się nie zmienia — urzędowo.

Wasz kolega Klubowy na tej samej sesji sejmowej, na której przemawiał A. Polewka, wyraził niepokój, że o człowieku nowej Polski mówi się przy programie gospodarczym, że to despekt zastanawiać się nad nim w Planie Odbudowy. Osobno, niezależnie, najpierw, a potem zobaczymy jaki będzie do niego pasował Plan Gospodarczy!..

Kolego, takie rozumowanie przynosi despekt pozytywnej spuściźnie ideowej Wici. Czy nie te same warunki gospodarcze powojennych zniszczeń są punktem wyjścia dla życia prywatnego każdego człowieka w Polsce z jakich **wychodzi Plan Odbudowy?** Czy realizacja tego planu nie będzie **kosztowała** go nie tylko **ekonomicznie, ale społecznie,** ideowo i moralnie? A co, może „zjawy sprzed wieków"? Przypominam, **że prezydentowi Szwajcarii, reprezentantowi Europy Zachodniej** toby się nie podobało, **machnąłby w końcu ręką** na tak **organizującego się nowego człowieka** w Polsce. Diabli **wzięliby tradycyjną przyjaźń.** Węgiel, panowie i tak dalej. A ten węgiel — chociażby — w starych sztolniach i wskaźniki produkcji lecące do góry — to Kolego nie **człowiek,** nie człowiek, którego mózg, serce i ramiona tętnią myślą i sercem odbudowującego się narodu? Sercem i myślą Polski Ludowej? Kolego, szkoda, że nie byliście na Dożynkach w Opolu.

Dożynki urządził Wojewódzki Zarząd Związku Samopomocy Chłopskiej. Ja wiem, że Wy macie za punkt honoru nie robić tego, co Samopomoc i nie robić niczego z nią razem. Boleję nad tym. Ale faktem jest, że to właśnie Samopomoc potrafiła przesunąć punkt ciężkości w Święcie Dożynek na ich społeczne znaczenie i symbolikę. Tam w Opolu, dożynki były **bilansem wszystkich** prac wsi, tam świętem **kontroli** pracy, tam **Świętem Planu przyszłości** wsi.

Trzy godziny trwał pochód. Kilkaset tysięcy. To są te doły, o których Wy wątpiliście. Kolego, ten korowód nie przeciągał pod hasłem: „cepami teraz radzić". Wyjechały na początek traktory - bohatery. 42.000 ha na takim wisiało — tyle zaoranej ziemi. Potem kultywatory, siewniki, żniwiarki, młockarnie. Wiał kurz z tych smoków w robocie. Jechały kuźnie, warsztaty naprawy maszyn. Jechały młyny, tartaki, piekarnie, spółdzielnie, żłóbki, ambulatoria, szwalnie, kuchnie nowoczesne i cuda na nich piekące nasze młode dziewczyny, jechały wystawy sztuki ogrodniczej i sadowniczej — imponujące, jechały biblioteki Gminne, elektro-węzły, i radio-węzły. Kolego, z niczego, po roku, z samego Opola szło jedno gimnazjum, drugie, trzecie, czwarte, szły gimnazja zawodowe, techniczne, handlowe, rolnicze, szły kadry „oświaty dorosłych", też zawodowej. I Kolego, po gębach, poznawałeś, że większość to chłopskie dzieci. I Wiciarze i ZWM-owcy byli ze wsi i górnicy, hutnicy, harcerze i bracia zza Olzy i delegacje miejskie i wiejskie z całej Polski, tak obfite, że na 2/3 można liczyć wszystkich przybyłych. pomocy.

A w pochodzie te młyny, młockarnie, kuźnie itd., nie myślcie, że po jednym okazie. Po sto i więcej, Kolego!

Tu defilowało z woj. śląskiego Koło gromadzkie za Kołem. To nie delegacje a pospolite ruszenie wszystkich komórek organizacyjnych. A jakże, były i wieńce, kolorowe stroje, „jechały" całe zabawy taneczne, nowożeńcy, błazny robiły swoje, turonie, cyganki. Ale Kolego te elementy tylko ozdabiały potężny, główny, rozstrzygający o wrażeniu korpus pochodu, korpus **nowoczesnego uzbrojenia** wsi polskiej, nowych masowych zakresów pracy, osiągnięć i programu na przyszłość. **Były pługi, sierpy i stodoły z młocką, cepami i stare chaty obok nowoczesnych domów.** Tak, pokazano nam historię nie orania pod jesień, ale **historię przemian w metodach i narzędziach pracy rolniczej, pokazano od ilu to i jakich innych instytucji gospodarczych i kulturalnych zależy tamten, czysto rolniczy postęp. Pokazano nam naocznie, że źródła mocy technicznej zależą od sił społecznych. Że nasze maszyny, nasz nawóz to robotnicy, ich świadomy wysiłek i punktualność. Nasz sojusz z nimi, nasze nieosamotnienie. Cała Polska pracy wiejskiej i miejskiej towarzysząca, podziwiająca i też, jak w Dożynkach,** które **opisał przed laty J. Wiktor, pełna łez, łez wzruszenia. Ale bo tu było czym się wzruszyć! Stojący obok mnie dziennikakrz angielski fotografował. Wskazywałem mu kuźnie,** stacje maszyn rolniczych. Nie, on zdejmował „bajecznie kolorowe" krakowianki i chaty strzechą kryte. Dlaczego? Nauczono go myśleć o Polsce, o wsi naszej, tymi kategoriami. Gotowy na obejrzenie swoistego egzotyzmu upstrzonego w pawie pióra, jak to bywa w koloniach. Ale jego raport fotomontażowy przedłożony jego królewskiej mości będzie fałszywy, czy może dlatego, aby nie niepokoić Rządu Wielkiej Brytanii przemianami w Polsce. Przemianami nie na żarty, które pokazują, że Polska nie chce trwać w stanie „kolonii afrykańskiej" w Europie.

Kolego, on jeszcze nie dowierza, że my węgiel będziemy dostawiać punktualnie, że my maszynami i elektrycznością podniesiemy jakość i ilość produkcji rolniczej?

A przecież, Kolego, te Dożynki przemieniły się w wielką narodową manifestację na Ziemiach Odzyskanych. I nie to tylko było ważne, że manifestowało kilkaset tysięcy? Ważne, najważniejsze było to, że odpowiedź wielkiemu kapitałowi z Zachodu dawał nie kolorowy lud z umiłowanym sierpem i pługiem, ale wieś w nowoczesnym rynsztunku technicznym, z aspiracjami na zaspokojenie wielu nowych potrzeb kulturalnych. Znaczyło to dziś tyle co: broni Ziem Odzyskanych wieś, która wstępuje w nowoczesną cywilizację Europejską. Znaczyć to będzie za lat 10, 20 tyle co: broni Ziem Odzyskanych wieś, która już przoduje w Europie.

Tylko takich nas się można przestraszyć i takim ofiarować „tradycyjną przyjaźń"!

Szkoda, że nie byliście na Dożynkach w Łodzi. Tam Wiciarze zrealizowali swój program. W ich koncepcji Dożynki to jest ten punkt gospodarczego obrotu rocznego na wsi, który dosięga drugiego ogniwa produkcji — przemysłu. To początek wymiany. To moment uprzytomnienia sobie struktury społecznej Polski. Uprzytomnienia, że w Polsce ludu pracującego drugie ogniwo trzyma dziś w ręku klasa robotnicza, tak wyzwolona jak i warstwa chłopska. Że to są obecnie dwie rozstrzygające siły społeczne. Że ich interesy przenikają się i zależą wzajem od siebie. Że wobec tego Święto Dożynek w nowej Polsce musi być Świętem przyjaźni chłopsko - robotniczej. Bo poza mechaniczną siłą walcowni i hut stoi ludzka siła — robotnik, ta nowoczesna pomoc i zapowiedź rozkwitu rolnictwa i dobrobytu chłopa.

Trzeba było, Kolego widzieć, jak szły ku sobie potężne szeregi Wiciarzy i ZWM-wców, a kiedy były już bardzo blisko siebie wysunął się Wiciarz z chlebem, wysunął się ZMW-owiec z rolniczym narzędziem. Nastąpił uścisk i wymiana wytworów pracy. Skończył się i mit starosty dożynkowego! Zaczęła się tradycja Dożynek, w których nikomu wyższemu plonu nie składamy a z równymi w pracy wymieniamy owoce procesów gospodarczych, rolniczych, przemysłowych i umysłowych. Ta wymiana wymaga ludowej, demokratycznej równości, wymaga dlatego naszego gwałtownego, entuzjastycznego osiągnięcia warunków i umiejętności, jakimi imponuje prezydentowi Szwajcarii i zaskarbia u niego „tradycyjną przyjaźń" punktualna dostawa naszego węgla.

Kolego, kto tu dziedzictwa przeszłości nie marnuje? Wy, czy tamci w Opolu i w Łodzi?

Jan Aleksander Król

Józef Andrzej Frasik

Elegia

Wieczory, późne wieczory!
O wrota łomoce wiatr, siostra umarła.
Kto z chrobotem zjechał po rynnie,
pełzający cień świecy migoce w szybie.

Czarny Nero, kochana psina,
u budy łańcuchem podzwania –
skomli nocą aż do przedrania –
wiatr upiornie wiązy ugina.

U sąsiada dźwięczą dachówki,
u głuchego cieśli skwierczą piły:
zwołują się nocą puchacze, nietoperz i sówki —
w noc czarną z wiatrem się zmówiły.

I nim matkę w płaczu ta pora uniesie,
nim ojciec się zatnie z krzywdy, zamilknie i schyli,
anioł rączkę na rączkę układa siostrze – jak przycieśle
i zapłakany siada u wezgłowia trzepotem motylim.

Ranem (już dawno), przed sienią trumienne wieko,
rano, gdy droga w mgłę jesienną się bieli –
jak białe kobiety u strug, z chustami nad rzeką,
trumienkę sosnową niosą anieli.

Zagroda

Ten dom u zbocza, gdzie śliwina
stromo w leśne ustronie zwisa –
a niebo jak szklany klosz, jak siwa misa,
– z pękiem grzybów wraca starowina.

Harmonijką koń ogrywany
szorstką trawą co chwila prycha.
Jałowiec na urwisku usycha.
Wrony okrakują dzień zziajane.

Nim drobne wózki z pola zwiozą
niski owies – koniczyna szkarłaci się sama –
z wąwozu rozwartego jak brama,
echo wraca – prześpiewanej piosenki głosy.

Nim i mnie te rzeczy śpiewne wzruszą,
zagrodo pod cieniem wzgórz bądź zdrowa!
Pod cieniem przetykanym siąść pod gruszą –
a słońce się chyli. Za Rosochatką się chowa.

Anna Kamieńska

Sadzenie ziemniakow

Aby zasadzić ziemniaczane pąki
Trzeba uginać grzbietu, brnąć po grudzie,
Co krok potykać się przed przyszłym kłączem
I w gnojnej ziemi nurzać ręce.

Tu między tarnin biały kwiat
Wbiegają małe pastuszki, a dalej
Żołnierz spotniałe plecy suszy w słońcu
Mundur rzuciwszy na gałąź choiny.

Rozkwita gestów wiele wyżej, stromo –
Ptak niebo plącze, dym z pociągu wzlata.
Na kartofliskn gest się w ziemię wbija
Jak rdzawy pocisk do następnej wojny

Straszniejszej wiele, bo dzisiejsze dzieci
Śmiertelny z niego ciężar wyprowadzą.
Ale się pociesz — nie ma tutaj grzechu,
Ani przekleństwa. Zwykła ludzka praca.

Leonard Sobierajski

Wystawa warszawska — nową szansą rolnictwa

W Warszawie została zorganizowana ogólnokrajowa wystawa państwowego przemysłu spożywczego. Oglądający wyrażają zdziwienie, że tyle odżywczo cennych rzeczy u nas się produkuje. No, bo jakże tu się nie cieszyć! Wśród widzów jest wielu smakoszów, dziesiątki spośród nich na pewno z wyobraźnią Mikołaja Reya z Nagłowic, który z mlaskaniem języka mawiał: „azaliż to nie rozkosz mieć nasposobionych ogóreczków, grzybeczków a śliweczek" (cytuję z pamięci). Istotnie, są szyneczki i wędlinki i bekony, są konserwy mięsne, rybne, owocowe, jest wszystko to, na co zdobywała się kuchnia „reyowska", a także co mógłby wymarzyć Imć Pan Wojski, sposobiący ucztę w Soplicowie, bo i puszki z pasztetem z dziczyzny i konserwa z drobiu, jest nawet gulasz a ponadto i golonka — ręce zacierać! Mamy tu po prostu historię. Jest wiek szesnasty (Mikołaj Rey), początki dziewiętnastego (arcymistrz kuchenny z Soplicowa Pan Wojski) no i jest wiek XX racjonalna kuchnia — a więc owoce płynne (soki owocowe), namiastki witaminowe, wyroby cukiernicze, a wszystko razem puszki, puszki i jeszcze raz puszki. W sumie rozwiązane ręce dla gospodyni, pani domu; kolosalne zaoszczędzenie czasu przy prowadzeniu kuchni, racjonowane a równocześnie bogato zróżnicowane odżywienie człowieka dzisiejszego, który właściwie na nic nie ma czasu, a więc i na zastanawianie się, co ma jeść, by organizm jego dobrze wyposażony mógł sprawnie funkcjonować.

To byłaby ta sprawa naoczna: eksponaty przyciągają wzrok, przemawiają do wyobraźni. Człowiek przy tym się i zamarzy, gotów by strawestować czyli przeinaczyć piękne westchnienie mickiewiczowskie o księgach, które mają „zbłądzić pod strzechy".

Żeby również coś tak z tych oglądanych tu rzeczy mogło zbłądzić pod strzechy, trafić na stół chłopa, inteligenta zawodowego, czy robotnika.

I tu zaczynamy się zasępiać, na ścianach wiszą piękne makiety statystyczne. Widać jasno i wyraźnie — tego a tego produkujemy tyle a tyle. Tak było przed wojną, tak jest teraz, tak może być za lat parę. Spożywamy na razie rozpaczliwie mało. Naród źle się odżywia. Wszystko to co oglądamy, w małym tylko procencie, gdy przyjrzymy się wskaźnikom produkcyjnym, zaspakaja potrzeby społeczeństwa.

Wystawa jest właściwie piękną projekcją, jest impulsem na przyszłość. Mamy w tej chwili sprawnie pomyślany aparat produkcyjny: są zakłady przemysłu spożywczego sprzed wojny, pomnożone o dużą ilość fabryk na Ziemiach Zachodnich. Część tych zakładów już produkuje, część jest w odbudowie.

Dużo rzeczy nam brak i na tym odcinku: kapitałów inwestycyjnych, za mało jeszcze mamy fachowców a najważniejsze — to mała ilość surowców do przeróbki. I tu właśnie wysuwa się zagadnienie, które wieś musi rozwiązać.

WIEŚ ŹRÓDŁEM SUROWCÓW DLA PRZEMYSŁU SPOŻYWCZEGO

Cała prawie produkcja rolna spoczywa dziś w rękach chłopskich. Majątki państwowe stanowią w Polsce stosunkowo niewielki procent ziem użytkowych. Ziemia w swojej zasadniczej masie jest więc własnością chłopa, który ją uprawia bądź jako właściciel jednorodzinnego gospodarstwa, bądź na resztówkach jako członek chłopskich organizacyj gospodarczych czy społecznych. Ta pozycja wyznacza dziś rolnikowi specjalne zadania. Siłą rzeczy musi on tak organizować swoją wytwórczość by sprostał tym obowiązkom jakie nań spadają z tytułu jedynego żywiciela kraju. Podstawowym problemem jest tu włączenie gospodarki chłopskiej w system gospodarki ogólno-narodowej. Ażeby temu postulatowi wieś mogła zadość uczynić musi produkować planowo. W pierwszym rzędzie nie może nadal nastawiać się tylko na odbiorcę jednostkowego z najbliższego miasteczka, ale właśnie na odbiorcę hurtowego, jakim jest przemysł spożywczy, pozostający w rękach państwa, bądź spółdzielczości.

Jest rzeczą bezsporną, że spożycie tłuszczu „na głowę" jest u nas dziś absolutnie za małe. I przed wojną staliśmy pod tym względem na szarym końcu wśród narodów europejskich. Tak było ze spożyciem cukru, tak z nabiałem czy warzywami.

Mimo tego, że uchodziliśmy za kraj rolniczy, jedliśmy tłuszczu o połowę mniej niż Czechosłowacja a trzy razy mniej niż Niemcy. Gdzież tu tkwił u licha błąd! Chyba w wadliwym systemie wytwórczym naszego rolnictwa. Gospodarz wiejski produkował widać za mało i dla siebie i dla kraju. A jednak ciągłym kłopotem naszego chłopa było to, że nie ma komu sprzedawać. I tak rzeczywiście było, gdyż trzech rolników przypadało na jednego konsumenta z miasta.

To jest jedno — podstawowa wada naszej struktury gospodarczej; wada ta może tylko bardzo powoli być usuwaną. Jest jednak zagadnienie drugie — nieracjonalność gospodarki wiejskiej, niedopasowanie jej do rynku wewnętrznego . zagranicznego. Błąd, który ekonomiści z dziedziny rolnictwa nazywają „gospodarką naturalną".

Mało, czy średniorolny gospodarz uprawia żyto, owies, kartofle; tym żyje on i jego inwentarz. Nadwyżkę zbywa na targu w sąsiednim miasteczku. Zrozumiałe, że gdy chłopi z całej okolicy zwiozą na raz, jak to bywało dotychczas, do miasteczek te nadwyżki w swoim ubogim składzie (kartofle, żyto, kapusta) — odbiorcy nie znajdą, bądź ceny wskutek dużej podaży będą tak niskie, że nie zapewnią im opłacalności.

Ostro występuje tu sprawa większego uspołecznienia chłopa jako producenta. Jako właściciel warsztatu rolnego musi on produkować dla kraju i w takim zamówieniu w jakim ten kraj je stawia. Dziś na przykład mamy małą ilość pogłowia bydła i nierogacizny. Dlatego kg masła czy słoniny, kosztuje około 400 zł.

Nie je masła ani chłop w dostatecznej ilości, nie je robotnik, ani inteligent. Mamy jednak co innego. W tej chwili jest w Polsce 19 olejarni o zdolności przetwórczej 100.000 ton nasion, 8 rafinerii o zdolności przetwórczej 32.000 ton oleju i jedną margarynownię na około 3.600 ton rocznie. I cóż się dzieje? Za pierwsze półrocze 46 r., ten uruchomiony przemysł olejarski otrzymuje do przeróbki krajowych nasion tylko 3.150 ton. Tak więc na zapotrzebowanych 100% surowca otrzymał od rolnictwa tylko 6,02%. Stąd wniosek: rolnik może uprawiać rzepak, rzepik, len czy konopie — ma zapewniony rynek zbytu i opłacalną cenę.

Nie będziemy rozważali w tej chwili, dlaczego nasz rolnik nie był w stanie więcej tych roślin przemysłowych rzucić na rynek. Wskazujemy tylko na to, że otwiera się przed nim szansa — stwarza ją przemysł spożywczy.

Rezultat: Chłop zwiększy dochodowość swojej gospodarki. Całe społeczeństwo nie mogąc spożywać dostatecznej ilości masła czy słoniny, będzie miało oleje jadalne czy margarynę i tym zastąpi dotychczasowe braki w zakresie tłuszczów.

Podobną możliwość stwarza przemysł konserwowy. W tej chwili nie możemy produkować zbyt wiele przetworów mięsnych: szynek, bekonów czy konserw mięsnych. Ale znów jest szansa. Wieś może zbywać na rzecz tego przemysłu każdą ilość świń, bydła czy drobiu. Zwiększy się wówczas zracjonalizowane spożycie wewnętrzne, prócz tego nadwyżki będziemy mogli rzucić na rynki zagraniczne. A polskie bekony, szynki, czy wędliny, znajdą zawsze na rynkach europejskich chętnych odbiorców. Dzięki temu eksportowi zwiększy się znakomicie zamożność kraju. Wówczas ta nasza szynka czy konserwa, która pięknie dziś dekoruje stoiska wystawy warszawskiej, na pewno będzie jedzona i przez polskiego chłopa i przez robotnika, a więc przez warstwy, które chronicznie się nie dożywiały.

Już dziś rolnicy mogą dużą ilość warzyw kierować do przeróbki konserwowej, tak samo dużą ilość owoców.

Chłop, który cały swój dochód czerpał z hodowli, dla którego prawie jedyną pozycją dochodową były pieniądze, otrzymane w ciągu roku za sprzedaną sztukę bydła, świnię czy drób, jakże często pozycją uzależnioną od nieuczciwości prywatnego odbiorcy, dziś może spokojnie pomyśleć o hodowli jak najintensywniejszej mając tę pewność, że wszystko to, co on wyprodukuje, znajduje zbyt i będzie zapłacone według uczciwej kalkulacji.

Państwowy przemysł spożywczy, czy „komisja cen", nie będą same decydowały o cenach bydła, lecz w porozumieniu z instytucjami chłopskimi a więc ze ZSCh, czy wydziałami wiejskimi „Społem" jak wydział: „rolniczo-handlowy", „rolniczo-przemysłowy", czy „mleczarsko-jajczarski" Ceny te będą tak wyznaczone, aby producentowi wiejskiemu zapewnić pełną opłacalność.

W podsumowaniu stwierdzamy jeszcze raz: stworzenie dużego przemysłu spożywczego może wyprowadzić nasze rolnictwo ze stanu „gospodarki pierwotnej", może stworzyć mu stałego odbiorcę na te artykuły, które ten przemysł będzie zdolny przerobić.

Podniesie to stopę życiową naszego społeczeństwa, zwiększy obroty handlowe z zagranicą, przymnażając tym samym zamożności krajowi. Żeby polska wieś mogła godnie odpowiedzieć na propozycje stawiane jej przez przemysł spożywczy, musi zmienić sposoby gospodarowania, musi zerwać z tradycyjnym schematem upraw. Produkcja gospodarki chłopskiej musi wychodzić na przeciw produkcji przemysłu spożywczego. Oblicze gospodarki polskiej się zmieni, gdy z świadomości chłopa zniknie przeświadczenie, które znalazło wyraz w wypowiedzi reprezentatntki gromady wiejskiej w „Weselu" Wyspiańskiego: „Wyśta sobie a my sobie".

Mówi się „świadomość klasowa". Otóż jak rozumiemy my świadomość klasową chłopa. Jest ona pojęta najszlachetniej: Przyjęcie współodpowiedzialności za wyżywienie kraju. Żeby mógł z pełną świadomością tę rolę odegrać, stać się musi nowoczesnym producentem rolnym.

Przy nowoczesnym przemyśle, nie może być tradycyjnego, zacofanego rolnictwa. Nowoczesny przemysł i nowoczesne rolnictwo dadzą w sumie narodowi zdrową strukturę gospodarczą.

Więzienie

Tadeusz Kudliński — **„Mantelupa"**, wspomnienia, str. 246, skład główny „Czytelnik", Kraków 1946.

Tu i ówdzie w prasie odzywają się głosy, że dość już mamy literatury tematycznie tkwiącej w okresie okupacji, literatury masakr, partyzantki, grobów i podziemia. Jest to bowiem jak gdyby przedłużanie makabry hitlerowskiej, ponurej nocy, której nie należy specjalnie uprawiać w dalszym ciągu. Dość mieliśmy samej okupacji, nie jest więc celowe dłużej się w tym babrać. Tymbardziej, że życie, które płynie koło nas, ma również swoje powaby i rozpamiętywanie ponurej dawności przyczynia się tylko do umniejszania jego krasy.

Głosy te, aczkolwiek zupełnie zrozumiałe psychologicznie, nie wydają się nam całkowicie słuszne. I to z kilku względów. Przede wszystkim dlatego, że owa literatura (nazwijmy ją) okupacyjna nie jest znowu tak bogata. Do dziś na palcach możnaby nieledwie policzyć jakieś poważniejsze, większe prace czy to beletrystyczne czy dokumentarne. Większość publikacji stanowią drobne przyczynk. tyczące pewnych miejscowości, grup ludzkich, przeżyć jednostek itp.

Po drugie dlatego, że pewien schematyzm ogłaszanych wywodów ukazuje zjawiska okupacji, jak gdyby w jednym prawie aspekcie, a przecież obraz jej był bardzo różnorodny pod względem ilościowym i nasileniowym. Przekładając to na słowa proste, powiedzielibyśmy: tu zastrzelili Niemcy człowieka, tam zabili dziesięciu czy stu ludzi. Tu, czy tam, dokonali takiego lub innego barbarzyństwa. Słowem, stworzyli warunki współuczestnictwa w zbrodni dla kilku typów ludzi: jeden wydawał rozkaz, drugi go wykonywał, trzeci na to patrzył, inny o tym słyszał — słowem, szereg ludzi przeżyło pewien proces wewnętrzny. Te procesy powodowały spustoszenia w ludzkiej psychice u osobników, nieraz daleko będących od samego jądra wojny.

Otóż notowanie odmian tego typu zjawisk, ich wtórnego niejakoby oddźwięku jest jeszcze bardzo skromne i niedostateczne.

Nadto — wyrzucenie ze świadomości obrazów wojenno-okupacyjnych nie jest tym samym, co usunięcie ich z ludzkiej duszy w ogóle. Jak uczy nas psychoanaliza — fakt wyrzucony ze świadomości bynajmniej się nie kończy. Przenosi się do podświadomości i tam gnębi naszą jaźń, będąc jakże często źródłem najrozmaitszych schorzeń psychicznych.

Wydana świeżo książka Tadeusza Kudlińskiego p. t. „Mantelupa", jak w Krakowie popularnie nazywają więzienie mieszczące się na ulicy Montelupich, odzwierciedla jeden odcień okupacyjnych przeżyć jednostek — mianowicie pobyt w więzieniu gestapowskim. Autor na tle osobistych zdarzeń, podczas pobytu w tym więzieniu, kreśli ciekawe zagadnienie atmosfery panującej w takim domu, w którym zamkniętych jest kilkunastu ludz jednej płci, ale różnych poziomów umysłowych i życia zewnętrznego.

Nasza literatura — że się tak można wyrazić — więziennicza, jest ogromnie skąpa. Dawne opisy pamiętnikarskie przedstawiające warunki życia w więzieniu za czasów niewoli, czy to po więzieniach austriackich czy carskich, albo pruskich — należą już do okresu zamkniętego historycznie i bardzo od nas odległego. Nowsze rzeczy na ten temat znajdziemy tylko chyba w książkach Urke-Nachalnika czy też Sergiusza Piaseckiego. Tam jednak sprawa o tyle się komplikuje, że materiałem ludzkim jest przeważnie więzienny materiał przestępczy.

W książce Kudlińskiego chodzi o ludzi normalnych, wyrwanych srogim prawem (czy bezprawiem) okupanta z samego środka rodziny i poddanych zamknięciu, z którego wyjście kończyło się śmiercią.

Ten stan rzeczy: brutalne przerwanie dotychczasowych warunków życia stłamszenie elementarnych praw jednostki w społeczeństwie i świadomość wiszącej stale nad głową kary śmierci — powoduje rozmaite u różnych osobników objawy kompensacji życiowej.

Autor spostrzega, że w takich warunkach obok pewnego bezwstydu płciowego czy fizjologicznego, zdarzają się fakty objawów koleżeństwa, godności, pobożności. W różnorodnym zespole tych ekwiwalentów biologicznych Kudliński daje prymat czynnikom religijnym. Notuje on go stale u innych, a przede wszystkim u siebie.

Przez cały czas prowadzenia swoich zapisków autor stale powraca do tych zdarzeń i myśli, które możnaby nazwać filozofowaniem religijno-mistycznym, nierzadko schodzącym się z objawami zwyczajnej dewocji.

Tego rodzaju ładunek myślowy — strona filozoficzno-mistyczna — przeciąża książkę znacznym balastem refleksji, które wprawdzie uwypuklają jedną stronę, ale zamazują bezpośrednie przedstawienie przeżywanych faktów.

Język T. Kudlińskiego we wspomnieniach z Mantelupy, posiada wszystkie cechy prozy tego autora: jego jędrność i obrazowość, dosadność i zwięzłość — jednocześnie autor unikał świadomie owej wulgarnej nomenklatury koszar czy ulicy, rzucając tylko tu i ówdzie ordynarny wyraz dla dosadniejszego przedstawienia rozgrywających się scen czy wypadków.

Książka stanowi ciekawy materiał do badań psychologii więziennej. T. G.

W OSTATNIM 39 (67). NUMERZE „WSI" z dnia 29 września 1946:

Tadeusz Papier — **Wojna i odbudowa;** Stefan Baścik — **Przebieg studiów akademickiej młodzieży chłopskiej;** A. F. Kirło-Nowaczyk — **U płota;** Jan Maria Gisges — **Siewca;** Stanisław Skoneczny — **Pachnie rumianek, Poemat wojenny. O rozstrzelanych:** Stanisław Witowski — **Krzesny;** Ignacy Antosz — **Pańskie prawo;** Władysław Blachut — **O nowego nauczyciela;** Stefania Rybieiska — **Świątkarz Jędrzej Wowro;** Władysław Leszczyński — **„Trzy grosze" obserwatora.** Henryka Chmielewska — **Bez rodziców;** Kazimierz Sosnowski — **Pamiątki Kościuszkowskie;** Roman Bratny — **Uwagi o inteligencji;** 4 ilustracje, 8 stron

Dziewczyna do swej twarzy

Twarz dziewczyna ponad wodą myła,
myjąc tak do twarzy przemówiła:
„Gdyby miał cię staruszek całować
poszłabym do lasu zielonego,
wszystek piołun zerwałabym w lesie,
soki bym z piołunu wycisnęła,
w tych bym sokach co dzień ciebie myła,
by starcowi gorzkimi się stały.
Gdyby miał cię młodzieniec całować,
to bym poszła w ogrody zielone,
wszystkie róże w ogrodzie bym rwała,
z róż bym wszystkie soki wycisnęła,
w tych bym sokach co dzień ciebie myła,
by całusy młodemu pachniały;
niech mu pachną, niech mu miło będzie.
Chętniej z młodym w lesie bym mieszkała,
niż ze starcem w jego białym dworze;
lepiej z młodym na kamieniu sypiać,
niż ze starcem na miękkich jedwabiach.

przełożył **Czesław Jastrzębiec - Kozłowski**

Z LUDOWEJ POEZJI JUGOSŁOWIAŃSKIEJ

O współpracy narodów słowiańskich mówi się dzisiaj bardzo wiele. I nie tylko się mówi. Współpraca ta rozrasta się coraz bardziej, gdyż poza względami uczuciowymi decydują o jej konieczności względy praktyczne. Kraje słowiańskie dążą do uniezależnienia się od obcych wpływów, do podźwignięcia się gospodarczego i kulturalnego, by przestać być „ubogimi krewnymi" innych państw europejskich. Dla osiągnięcia tego celu potrzeba współdziałania wszystkich narodów słowiańskich, gdyż pojedyńczo są one (poza ZSRR) za słabe, by móc odgrywać poważną rolę w świecie współczesnym.

Pierwszym jednak warunkiem zgodnej i rozumnej współpracy jest wzajemne zapoznanie się, do którego prowadzi wymiana dóbr kulturalnych. Dlatego też „Wieś" stara się o zapoznawanie swoich czytelników z dorobkiem kulturalnym i literackim bratnich narodów słowiańskich.

W numerze dzisiejszym podajemy szereg utworów jugosłowiańskich w przekładzie znakomitego tłumacza Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego. Mamy tu przede wszystkim kilka pieśni miłosnych ludu jugosłowiańskiego. O poezji tej pisze tłumacz:

„Czysta liryka miłosna ludu serbsko-chorwackiego wykazuje te same gradacje, jakimi rozporządzają wielcy pisarze wyższych warstw, oczywiście z wyjątkiem refleksji, obcej literaturom ludowym. Liryka miłosna wznosi się od nieposkromionej zmysłowości i dzikiej pasji ziemskiego miłowania do uczuć najdelikatniejszych, najbardziej nierealnych, a nawet abstrakcyjnie uduchowionych. Zaznaczyć wszakże należy, że spośród serbsko-chorwackich pieśni miłosnych najbardziej charakterystyczne są te, które opiewają miłość między młodzieńcem a dziewczyną lub też między mężczyzną a kobietą z rzadko w literaturze świata spotykaną delikatnością, powściągliwością i czystością".

Wzorem religijnej legendy ludowej południowych Słowian jest piękna „Pieśń o diakonie Stewanie i dwóch aniołach". Utwór ten należy niewątpliwie do arcydzieł poezji ludowej i zbytecznym byłoby zachwalać go czytelnikowi. Niech więc poezja sama mówi za siebie.

Dziewczyna wybiera sobie chłopca

Sen mię łamię, sen mię męczy,
snem zasnąć nie mogę;
za jakiego, myślę, męża
chce mię matka wydać. —
„Pójdź, córeczko, za koziarza;
dobrze ci z nim będzie". —
Nie chcę, matko, za koziarza,
dobrze to nie będzie.
Koziarz chodzi po kamieniach,
może i kark złamać.
Sen mię łamię, sen mię męczy,
snem zasnąć nie mogę;
za jakiego, myślę, męża
chce mię matka wydać. —
„Pójdź, córeczko, za owczarza,
dobrze ci z nim będzie". —
Nie chcę, matko, za owczarza,
dobrze to nie będzie.
Owczarz chodzi po tych górach,
wilk go pożreć może.
Sen mię łamię, sen mię męczy,
snem zasnąć nie mogę;
za jakiego, myślę, męża
chce mię matka wydać. —
„Pójdź, córeczko, za handlarza;
dobrze ci z nim będzie". —
Nie chcę, matko, za handlarza;
dobrze to nie będzie.
Handlarz się po świecie włóczy,
rzadko w domu bywa.
Sen mię łamię, sen mię męczy,
snem zasnąć nie mogę;
za jakiego, myślę, męża
chce mię matka wydać. —
„Pójdź, córeczko, więc za krawca;
dobrze ci z nim będzie". —
Nie chcę, matko, pójść za krawca;
dobrze to nie będzie.
Krawiec cienką ma igiełkę,
dzieciątka ma głodne.
Sen mię łamię, sen mię męczy,
snem zasnąć nie mogę;
za jakiego, myślę, męża
chce mię matka wydać. —
„Pójdź, córeczko, za rolnika,
dobrze ci z nim będzie". —
Pójdę, matko, za rolnika,
dobrze mi z nim będzie.
Rolnik miewa czarne ręce,
za to placki białe.

Chodźże duszko, ze mną się miłować!

Chodźże, duszo, ze mną się miłować!
Jak umówić się, że się spotkamy?
Czyli w twoim, czyli w moim dworze,
czyli w twoim, czy w moim ogrodzie,
czyli w twoim, albo w moim sklepie?
Ty się w sklepie zamień w chałwę słodką,
ja zaś będę sprzedawcą w tym sklepie
i podejdę, aby cię całować.
I powiedzą naokoło ludzie,
że ja w sklepie wszystką chałwę zjadam,
a ja tajnie całuję dziewczynę.
Lub w ogrodzie zmień się, duszo, w różę;
ja się zmienię w białego motyla
i opadnę na rumianą różę.
I powiedzą naokoło ludzie,
że w ogrodzie gryzę ptaki róży,
ja zaś tajnie całuję dziewczynę.

Szczere złoto

Szczere złoto przy drodze siedziało:
każdy kłaniał się owemu złotu.
Beg tamtędy jechał z junakami
Pokłonili się złotu junacy,
beg zaś tylko zlekka skinął głową,
zlekka skinął, aby nie urazić.
Wtedy złoto cicho doń przemawia:
„Przestań, begu, chcę ci coś powiedzieć.
Przystań, begu, na ciebiem czekało.
Jam takiego czekało junaka,
który mi się tylko ledwie skłoni,
tylko trochę — bym się nie smuciło . . .
Otom wreszcie ciebie doczekało,
aby wziąć cię za kochanka swego,
aby wierną ci zostać małżonką".
Gdy dobiegły bega owe słowa,
prawą rękę wyciągnął do złota,
kładzie za się złoto na konika,
wiezie złoto do białego dworu —
tam mu ono małżonką zostało.

„Zimno na sercu"

W dniu świętego Jerzego śnieg wypadł,
ptak tych śniegów nie mógłby przelecieć,
ale dziewczę boso je przebrnęło.
Za nią niesie braciszek trzewiki:
„Czy ci w nogi, siostrzyczko, nie zimno?" —
„Wcale w nogi mi, bracie, nie zimno,
ale zimno mi oto na sercu;
nie od śniegu zimno to pochodzi,
lecz pochodzi to zimno od matki,
która dała mię niekochanemu".

Pieśń o Diakonie Stewanie i dwóch aniołach

Wczesnym rankiem wstaje diakon Stewan
w dzień niedzielny, zanim słońce wstało,
zanim wstało, a przed nabożeństwem.
I nie poszedł do cerkwi, do białej
ale poszedł na równe, na pole,
kędy zaczął siać pszenicę białą.
Oto idą dwaj wędrowcy starzy
i witają go imieniem Bożym:
„Bóg dopomóż, diakonie Stewanie!"
On piękniejszą odpowiedź im daje:
„Bóg wam zapłać, o wędrowcy starzy!"
Powiadają dwaj wędrowcy starzy:
„Jaka, przebóg, diakonie Stewanie,
nakłoniła cię ważna potrzeba,
żeś tak wcześnie wstał raniutko dzisiaj,
w dzień niedzielny, zanim słońce wstało,
zanim wstało, a przed nabożeństwem,
i żeś zaczął siać pszenicę białą?
Czyś zaiste oszalał, młodzieńcze,
czyliś dzisiaj stał się poturczeńcem,
żeś krzyż święty podeptał nogami,
krzyż ten święty i wzniosłą naukę?
Czyli swoją wiarę zagubiłeś,
żeś tak wcześnie dzisiaj wstał raniutko,
w dzień niedzielny, zanim słońce wstało
zanim wstało, a przed nabożeństwem,
i żeś zaczął siać pszenicę białą?"
Diakon Stewan tak im odpowiada:
„Ależ przebóg, o wędrowcy starzy!
Gdy pytacie, prawdę wam odpowiem:
Jam, zaiste, wcale nie oszalał
i nie stałem się dziś poturczeńcem,
anim swojej nie zagubił wiary,
ani krzyża podeptał nogami,
ani krzyża, ni wzniosłej nauki.
Nakłoniła mnie ważna potrzeba,
bowiem żywię oto w moim domu
dziewięcioro niemych, tyluż ślepych;
ich to żywię wraz z mą wierną żoną,
toteż, wierzę, Bóg mi grzech przebaczy".
Na to mówią dwaj wędrowcy starzy:
„Chodźmy tedy do domu diakona,
by obaczyć żonę diakonową —
co tam robi żona diakonowa?
Szli przechadzką do domu diakona.
Żona jego wczesnym rankiem wstała,
w dzień niedzielny, zanim słońce wstało,
zanim wstało, a przed nabożeństwem;
białą właśnie pszenicę przesiewa,
Więc witają ją imieniem bożym:
„Bóg dopomóż, żono diakonowa!"
Ta piękniejszą odpowiedź im daje:
„Bóg wam zapłać, o wędrowcy starzy!"
Powiadają dwaj wędrowcy starzy:
„Jaka, przebóg, żono diakonowa,
nakłoniła cię ważna potrzeba,
żeś tak wcześnie dziś raniutko wstała,
wcześnie wstałaś w tę niedzielę świętą
i do wschodu, a przed nabożeństwem,
tę bielutką przebierasz pszenicę?
Czyś, niewiasto młoda, oszalała,
czyli żeś się dzisiaj poturczyła,
czyliś swoją zagubiła wiarę,
żeś krzyż święty nogami zdeptała,
krzyż ten święty i wzniosłą naukę —
boś tak wcześnie raniuteńko wstała,
w dzień niedzielny, zanim słońce wstało,
zanim wstało, a przed nabożeństwem,
i pszenicę tę białą przesiewasz?"
Odpowiada żona diakonowa:
„Ależ przebóg, o wędrowcy starzy!
Gdy pytacie, prawdę wam odpowiem:
anim ci ja dziś nie oszalała,
anim ja ci się nie poturczyła,
anim swojej nie zgubiła wiary;
ni świętego krzyża nie zdeptałam,
ani krzyża, ni wzniosłej nauki,
lecz skłoniła ważna potrzeba.
Bowiem żywię oto w moim domu
dziewięcioro niemych, tyluż ślepych,
ich to żywię z panem mym i mężem,
toteż, wierzę, Bóg mi grzech przebaczy".
Owo mówią dwaj wędrowcy starzy:
„Słuchaj, przebóg, żono diakonowa,
daj nam dziecię twoje, twego chłopca
chłopca twego ze złotej kołyski,
byśmy chłopca twego zarzezali
i krwi jego byśmy zaczerpnęli
i twój biały dom nią pokropili.
Co jest nieme — wówczas ci przemówi,
co jest ślepe — przejrzy ci na oczy".
Snuje myśli żona diakonowa,
snuje długo myśli różnorakie,
zanim myśli zestrzeliła w jedną.
Dała swoje im dziecko z kołyski;
zarzezali dziecko malusieńkie
i z krwi dziecka owo poczerpnęli.
Pokropili biały dom, jak długi,
a co nieme było — przemówiło,
a co ślepe — przejrzało na oczy.
Wstali tedy dwaj wędrowcy starzy,
by wędrować dalej z Panem Bogiem.
Patrzy za się żona diakonowa,
popatrzyła na kołyskę złotą,
a w kołysce jej dzieciątko siedzi,
igrające jabłuszkiem ze złota.
Więc przemawia żona diakonowa:
„Miły Boże, dzięki Ci za wszystko!
Oto przyszli dwaj wędrowcy starzy
zarzezali mi dziecko w kołysce
i z krwi dziecka owo poczerpnęli
Pokropili mi mój dom, jak długi,
a co było nieme — przemówiło,
a co ślepe — przejrzało na oczy.
Dziecię zasię siedzi w kolebeczce,
igrające jabłuszkiem ze złota".
Przemówiło dzieciątko z kołyski:
„Matko luba, moje ty kochanie!
to nie byli dwaj wędrowcy starzy,
lecz to byli boscy dwaj anieli".

Stefan Lichański

„Książki do czytania"

Leży przede mną nowe, ósme już, wydanie „Książki z San Michele" Axela Munthe*). Ósme wydanie... To już wystarcza, by książce poświęcić nieco uwagi. Prowokuje do tego zresztą i sam autor, pisząc: „Sklasyfikowanie „Księgi z San Michele" sprawia krytykom trudność". Ba, ale krytyka na prawdę zainteresować może tylko tylko utwór albo sam w sobie trudny i skomplikowany, albo też wrastający czy to zawartością ideologiczną czy też formą wyrazu literackiego włączający się w problematykę o poważniejszym znaczeniu.

Czy „Księga z San Michele" jest książką tego typu? Kiedy czytałem ją po raz pierwszy jeszcze przed wojną, odniosłem wrażenie, że jest to po prostu przyjemna lektura rozrywkowa i że nic więcej na temat tej książki powiedzieć się nie da. Wziąwszy jednak ostatnio „Księgę z San Michele" na warsztat recenzencki zabrałem się od innej strony: wynotowałem sobie po prostu na karteczce szereg wątków tematycznych, jakie przewijają się w tej książce. Zestawienie to — pobieżne zresztą i niepełne — dało mi klucz do sprawy poczytności owej „Księgi" i do zrozumienia jej osobliwej pozycji literackiej.

Wątki te ułożyłem w trzy grupy. Pierwszą z nich stanowią wątki romansu à la „Trędowata", a więc np. przez parę rozdziałów przewijający się szkic „romansu z wyższych sfer towarzyskich" — owa historia flirtu z piękną hrabiną i dramatycznych nieporozumień z kretynowatym wicehrabią Maurycym, nieporozumień zakończonych pojedynkiem — lub wzruszająca zresztą historia o biednym podrzutku Johnie, którego przypadkowo odnajduje matka i nie wiedząc, że to jej dziecko, poczyna odczuwać ku niemu serdeczną sympatię, która wkrótce przeradza się w głęboką miłość macierzyńską. Jeżeli uwzględnimy tu jeszcze okoliczności, w jakich John przyszedł na świat i został porzucony przez matkę — mamy tu coś, co bardzo przypomina powieści starego, poczciwego Eugeniusza Sue.

Grupa druga — to tematy przywodzące na myśl średniej klasy powieść angielską jak np. Locke (przygody Axela Munthe wśród cyganerii artystycznej w Paryżu i Szwecji, satyryczna sylwetka naiwnej snobki miss Hall) Cronina (działalność filantropijno-lekarska autora, jego starcia z lekarzami-szarlatanami) lub skandynawska (przygody w Laponii — z typowym dla Skandynawów przeplataniem realizmu wstawkami fantastycznymi). Trzecia wreszcie, to tematy z owej strefy pogranicznej między powieścią a literaturą popularnonaukową, więc np. wspomnienia o Maupassancie jakby wyjęte z jakiejś „biografii powieściowej", reportaże z pracy w szpitalu czy z uroczystości ludowych na Capri, próba rewizjonizmu historycznego w fragmencie poświęconym obronie honoru cesarza Tyberiusza, oczernionego niesłusznie przez Tacyta i Swetoniusza (tłumaczka z jakichś tajemniczych powodów nazywa stale tego ostatniego „Svetonem"), próba wykładu popularno-naukowego (o hypnozie).

Chyba wystarczy. Każdy może znaleźć coś dla siebie. „Do koloru i do wyboru", jak mawiała w „mieście Łodzi" na „Zielonym Rynku". Ale czy teraz nie będzie nam jeszcze trudniej zaklasyfikować książkę dr. Munthe? Chyba nie. Sądzę raczej, że już jesteśmy u celu.

Pozwolę sobie przypomnieć czytelnikom popularną anegdotkę o pewnym panu, który prezentuje komuś ze znajomych swoją bibliotekę. „Tu widzisz — mówi ów posiadacz biblioteki — znajdują się dzieła filozoficzne, tu są prace z zakresu socjologii, ekonomii i prawa, — tu przyrodoznawstwo i nauki ścisłe, tutaj — historia literatury i krytyka literacka, tutaj — psychologia i pedagogika, a tutaj — na tych półkach — są książki do czytnia". „Książki do czytania" — na tę właśnie półkę pasuje „Księga z San Michele" jak ulał.

I mało tego, że pasuje: należy się jej tu pierwsze miejsce jako arcydziełu gatunku. Bo gdy np. jeden z dostarczycieli tego rodzaju lektury uprawia wyłącznie farsiarskie błaznowanie jak Wodenhause, inny awantury w krajach egzotycznych — jak London, inny znów satyrę obyczajową czy społeczną lub powieść sensacyjną czy niesamowitą — Axel Munthe układa w swej książce barwną, wzorzystą mozaikę z najróżnorodniejszych motywów tego rodzaju powieści: od sensacyjno-kryminalnej awantury w burzonej trzęsieniem ziemi Messynie z signorem Amadeo do filozoficznej dysputy z greckim bóstwem śmierci Tanatosem, od flirtu z francuską hrabiną do przyjaznych pogawędek z lapońskim „uldrem" (krasnoludkiem). Wszystko zaś opisane gładko, potoczyście, że czytelnik z łatwością przebacza autorowi epizody zatrącające wyraźnie o banalność (jak np. rozmowa z psem Leo o

*) Axel Munthe: Księga z San Michele, wydanie ósme, Warszawa 1946, Galster, Lauter i Rutkowski, str. 516. Autoryzowany przekład Zofii Petersowej.

BOLESŁAW DYNDA

W Nr 31 „Wsi" zamieściliśmy artykuł L. Sobierajskiego „O przechodzeniu chłopa do innych kręgów pracy", poświęcony omówieniu prób pisarskich Bolesława Dyndy. Ponieważ artykuł ten wywołał zainteresowanie czytelników osobą omawianego w nim pisarza chłopskiego, dajemy w dzisiejszym numerze parę fragmentów wyjętych z rękopisów Dyndy.

Dynda jest zdeklasowanym chłopem, jest emigrantem ze wsi na teren miejski. Fakt ten zaciążył na jego pisarstwie i wycisnął na nim charakterystyczne piętno. Dla chłopów osiadłych na wsi i jako tako zabezpieczonych materialnie pisanie wierszy czy spisywanie wspomnień jest zazwyczaj sprawą wyłączoną z toku codziennego życia, jest świąteczną rozrywką. To też często w literackiej produkcji tego rodzaju spotykamy się z konwencjonalną, czysto literacką sielankowością, z patetyczną pisaniną o najważniejszych problemach bytu i t. p.

Tragiczna sytuacja życiowa Dyndy uczyniła jego pisarstwo realistyczną spowiedzią z przeżyć rzeczywistych a nie wyimaginowanych, nasyciła je świadomością klasową chłopa walczącego o awans społeczny. Literatura przestała tu być dodatkiem do zorganizowanego i uładzonego życia, stała się narzędziem walki klasowej, próbą odwołania się do sumienia społecznego i do solidarności wszystkich przeżywających podobne tarapaty życiowe jak autor.

Dynda nie jest literatem. W tym co pisze akcent pada na najbardziej realistyczne przedstawienie faktów. Jest to literatura w ścisłym tego słowa znaczeniu dokumentarna, rzec by się chciało: protokularna. Rzuca się to w oczy szczególnie przy lekturze wierszy Dyndy, z których jeden zamieszczamy poniżej. Dynda nie wyczuwa absolutnie różnicy pomiędzy prozą a mową wiązaną. Jego nieudolnie zrytmizowany i zrymowany wiersz mówi o tych samych sprawach i troskach, co jego proza, mówi nawet tym samym językiem. Jedyna różnica polega na wprowadzeniu akcentów melancholii, wzruszenia, których brak w prozie.

To, co pisze Dynda, nie jest stanowczo wysokiej rangi osiągnięciem pisarskim. Walor tego pisarstwa jest najzupełniej inny: świadczy ono o przesączaniu się do świadomości chłopskiej nowych myśli i nowych sposobów radzenia sobie w życiu. Nieudolna literacko praca pisarska Dyndy jest ważna jako dowód, że na terenie pisarstwa ludowego daje się odczuć potrzeba literatury uspołecznionej, walczącej. Fakt ten warto podkreślić i warto dbać, by tendencje te nie zostały zaprzepaszczone. (s. l.)

ŻYCIORYS

Ja, Dynda Bolesław, urodziłem się we wsi Zarzęcin gm. Zajączków, pow. Opoczno, woj. Łódzkie w 1908 r. dnia 7 października z ojca Antoniego i matki Bronisławy z Ossowskich.

Do szkoły wiejskiej chodziłem w Zarzęcinie przez 4 lata. Później pracowaełm z ojcem wspólnie w gospodarstwie czteromorgowym, pracując poza tym w lesie. Ale chęć brała mnie więcej do nauki, niż do roboty leśnej. W 1932 roku wyjechałem do zakonu w Miejscu Piastowym, ale wkrótce stamtąd wróciłem.

W tymże roku opuściłem wieś i szedłem na kurs pieszo około sto dwadzieścia kilometrów drogi do Centralnej Dośw. Stacji Jedwabniczej w Milanówku k/Warszawy. Kurs ten ukończyłem; po powrocie z kursu oddałem się pracy jedwabniczej i założyłem w leśnictwie Sibiaszów w porozumieniu z leśniczym Szymczakiem szkółkę drzew morwowych, a u ojca zasadziłem kilka drzewek morwowych. W roku 1944 zasadziłem żywopłot przy współorganizacji sekretarza gminy Owczary J. Więcka, przy tejże gminie.

Przez cały czas oddawałem się pracy rolniczej i jedwabniczej. Za prace te w tym czasie byłem prześladowany. W 1937-38 r. pracuję w filii Spółdzielni Mleczarskiej Błogie, oddział w Zarzęcinie, równocześnie przerabiam korespondencyjny kurs rachunkowości w gospodarce mlecznej.

Po śmierci matki i zaślubieniu przez ojca drugiej żony, muszę się jąć pracy agenta artykułów dewocjonalnych firmy Kl. Stojewski „Wiara", gdzie pracuję aż do wybuchu wojny.

W 1942 r. zostałem zabrany ze szkoły handlowej z kursu księgowości i osadzony w obozie Berlin. Tam byłem 3 lata, gdzie zapoznałem się również z pracownicą Polką, Anielą Zych, którą zaślubiłem.

Gdy wracałem z Berlina, zostałem okradziony dwa razy. Po powrocie do kraju pracowałem przez 4 miesiące w Szkole Ogrodniczej w Koźminie, woj. poznańskie. Obecnie pracuję jako robotnik na poczcie.

Ważna osoba

W odległości około 80 km od m. Poznania leży miasteczko K. — osada o charakterze czysto rolniczym. W miasteczku tym znajdują się ruiny zamku Sapiehów oraz cztery kościoły. Prócz tego miasto posiada dwa duże szpitale powiatowe, zwykły i zakaźny, oraz gimnazjum koedukacyjne i publiczną szkołę ogrodniczą. Kierownikiem jej czyli dyrektorem jest pan inżynier J. M., człowiek wielce dumny i pewny siebie.

Porządek jest tutaj nielada, w polu zielska wcale nie ma, szkółki są prowadzone wzorowo. W oborach czysto, a inwentarz jest należycie utrzymany. Uczniowie mają dobry wikt i są pełni na twarzach. Cóż zaś z tego, że robotnik bywa wykorzystany przez mądrość dyrektora M.?

Robotnik zwykły otrzymuje 3 zł 50 gr na godzinę, pomocnik ogrodniczy 7 zł na godz.

Proszę sobie wyobrazić, jak trudno jest biednemu robotnikowi żyć z tych paru złotych na tydzień, kiedy musi wyżywić siebie, żonę i dzieci, opłacić czynsz mieszkaniowy, zakupić opał i inne rzeczy wchodzące w zakres gospodarstwa domowego. Musi się tak stytłać w gnoju, błocie, że więcej jest podobny do zwierzęcia niż do człowieka.

A cóż dopiero mówić tu o takim, który pracuje przy krowach p. Dyrektora, gdzie w gardle dusi i w oczy szczypie! Ten chodzi jak pijany cały dzień. Do południa przy krowach, a po obiedzie trzeba okopywać truskawki, które zarosły zielskiem. Ręce mu opadają ze zmęczenia, a tu znów słychać głos pani dyrektorowej lub którejś z córeczek, ewentualnie dyrektora lub któregoś z profesorów, czy nawet zięcia pana dyrektora: „Dynda, chodźcie, bo trzeba iść po to lub po tamto!"

I chodzi człowiek wciąż przez cały dzień boży, wciąż jak maszyna. Ale za to pan dyrektor ma częste wyjazdy ze swoimi córeczkami do większych miast, Poznania czy Wrocławia.

Wielka to ci figura na całe miasto. Nawet weselisko sprawił nie byle jakie swojej najstarszej córce, Irenie, która wychodziła za syna nauczyciela, również nauczyciela. Wesele było huczne. Uczniowie od samego początku tygodnia robili porządki w parku, po którym się para młodych przechadzała, a że był mocno zapuszczony, to koniecznie trzeba go było odnowić, bo jakże by to wyglądało w czasie uroczystości, gdy goście zaproszeni zjadą. W sobotę od rana cały dom był przybrany w kwiecie i korony, wszędzie znać było ład i porządek. Z wnętrza domu wylatywała przecudna woń różnych pieczyw. Niejeden biedaczysko wznosił swój wzrok ku niebu i wzdychał nabożnie: „Ojcze, przemień tym bogaczom!"

W kościele parafialnym św. Wawrzyńca było ładnie przybrane; nowożeńcy szli po rozpostartych dywanach, przed nimi i za nimi młode dziewczęta rzucały kwiaty, wszystkie światła były zapalone. Organista przez cały tydzień smarował sobie gardło smalcem i jajami, aby miał silny głos, gdy przyjdzie śpiew „wenikreator". Kościelny wyszukiwał we wszystkich skrzyniach, gdzie tylko miarkował, świece woskowe, aby dały piękną woń po zgaszeniu.

Ksiądz wikary był trochę zasmucony, że nie będzie mógł dawać ślubu. Proboszcz był wzruszony tym, że mu przypadnie dawać ślub dzieciom zacnych rodziców.

Organy grały w czasie ślubu córy pana dyrektora jak najgłośniej, aby dać wzór szczerej chęci dla państwa i aby i pan organista mógł się znaleźć przy kieliszku słodkiej wódeczki u stołu pana dyrektora. Konie i powozy były w ruchu, przez cały dzień od rana do ciemnej nocy. Goście przyjeżdżali i odjeżdżali, w parku było gwarno i wesoło, tańczono różne obertasy z przesadami. Przez płot parobcy ze wsi i chłopaki z K. wścibiali głowy, aby się przyjrzeć weselisku i tańcom. „Tylko wierny podwórzowy widać dzisiaj tu nie przyszedł", rozprawiał jeden z uczniów. „On siedzi w domu, albo w parku miejskim ze swoją Anielą na ławce. Szkoda, że go tu nie ma, bo by się gorzałki napił".

Wreszcie pianino przestało grać i wszyscy się wynieśli do mieszkań domu weselnego. Stara gosposia Franciszka uwijała się po podwórku i zwoływała kury i kaczki, a czasami dzieci, aby zechciały zjeść resztki ze stołów.

Na drugi dzień zjawił się ich podwórzowy robotnik. Przyszedł napompować wody, wyrzucić gnój z obory i zamieść podwórze. A że miał bardzo długi nos, to wiele mógł wciągnąć, dużo zepsutego z wczorajszej biesiady. Stara Franciszka zagadnęła go: „A czemuście wczoraj nie przyszli? Bylibyście się upili i ujedli. Oj, oj, jaki to z wos głupi chłop!" „A lepszy wróbel w garści niż cudzy gołąb na dachu". Stara Wiernucha donosiła wszystko swym państwu. To też od tego czasu zrobiono na podwórzowego oko i zaczęto go pomału od siebie oddalać, tak jak kota od mleka.

Na całe nieszczęście podwórzowy opuścił kilka dni, to zgniewało p. dyrektora i wypowiedział mu pracę. On nie mówiąc nic, wyszedł najspokojniej z domu Wielkiego Asa. Przyszedł, wziął trochę łachów i poszedł z nimi na wsie ze swoją Anielką. Tam wiodło mu się dobrze. Na drugi dzień już pojechał do Wrocławia, gdzie nadarzyła mu się praca. Pracę tę przyjął z szacunkiem i jest z niej zadowolony, więcej zarabia i dziękuje Panu Bogu, za te łaski, że się dostał na zachód, i panu dyrektorowi za odprawę.

W krótkim czasie ma i on stanąć na ślubnym kobiercu, tylko już w inakszej formie, bo nie jest synem dyrektora ani jego narzeczona córką. Tylko oboje są z rodu ludzi pracy fizycznej i nie umią spekulować.

Bolesław Dynda.

Bolesław Dynda

Z wiosną

Z wiosną, gdy zima zeszła,
Ciepło się zrobiło
I wszystko ze snu
Do życia wróciło.

Chociaż były mrozy,
Nie jak przeszłe lata,
To jednak nocami
One się sprzykrzyły.

Gdy ranek nadeszedł,
To do siódmej spałem.
Na trzy przed ósmą
Drzwi poczty otwierałem.

Skowronka nie słyszę,
Tylko skrzyp i turkot parowozu
I krzyki — hałasy ludzi,
Tramwajów, samochodów, wozów.

Praca tu przygniata
Z rana do wieczora.
Nie słyszę leśnych ptaków,
Ni trzasku bicza oracza z dw...

Żal mi wsi ukochanej,
Tych chłopów oraczów,
Ojca — pola rodzinnego...
Czy będzie moje i czy go zobaczę?...

Marian Kubicki

NOKTURN

(Pamięci Stanisława Dubois)

fragment

Bukowy las zazielenił rankiem
wiosną, majem, błękitem, nadzieją.
...I zabolało wspomnienie
wątłym kwiatem jabłoni.
Przywaliło, przygniotło
tonną ziemi naniesionej trągą,
ciężarem z Steinbruchu kamieni,
o które za Postenkettą
dzwonił słowik majową nocą
poematem miłości Goethego.

I tyle wspomnień po cóż?
— gdy tu —
głód, kij i ból...
— a tam —
wiosna, jodłowy las..
... ojciec mozołem zgarbiony
pługiem odwala skibę ...
aby starczyło chleba!

Ojczyzna!

Tam —
wiosna nadziei.
A żyło, własnym s... trudem.
chlebem rośnie!

Tu —
zamknięto przestrzeń,
wymierzono czas, zadrutowano spojrzenie
— świat więzieniem!

Tam —
słowik wypłakał wieczną miłość.
A noc gwiazdami ściszyła cały smutek ziemi.
I wiatr szumi najciszej
matczyną kołysankę
na dzień dobry i na dobranoc.

Tu —
dym z krematorium
zamulił niebo,
zatruł dusze
i ziębi codziennie obcym, ostrym deszczem.

Tam —
...wiatr chojarami, brzeziną
nuci chłopską śpiewankę
o polskiej doli...
Wierna rzeka śpiewa Sole, Sola — Wiśle
chopinowską etiudę
o zagubionym polskim szczęściu —

Tu —
salwa c. k. m. przetrąciła ciszę,
zabiła horyzont.
I czaszka mego towarzysza
świeci oczodołami twardo
w stronę ziemi, co dziś być mus...
„od dłoni do dłoni" —
...i tylko płacz gazowanych ... a
nieutuloną skargą...

Wiatr nawiał wspomnień,
zapachniał puszczą
i męką zagubionej m...
Ojczyzna —

Auschwitz — 1942
Buchenwald, maj 1943.

księżycu, czy ze sceptycznym archaniołem strzegącym bram niebios) i rozmaite „lotne aforyzmy" w rodzaju: „Pies — to święty. Z natury jest szczery i uczciwy", lub „nie raz dawałem się powodować rozsądkowi, dzięki któremu stawałem się głupcem".

Trzeba jednak zwrócić uwagę na fakt, że „złote myśli" tego typu nie są w „książkach do czytania" czymś istotnym. Tego rodzaju utwory czytuje się nie tylko dla rozrywki, ale również i po to, by zaczerpnąć z nich pewną sumę przekonań i poglądów, by jak najtańszym kosztem wzbogacić swój światopogląd, rozszerzyć swoją wiedzę. I jeżeli zżymanie się na niechęć do lektury poważnej bywa czasem przesadne i uwarunkowane brakiem zrozumienia dla psychologicznych potrzeb „szarego człowieka", to nigdy nie można powiedzieć zbyt wiele, jeżeli chodzi o przestrzeganie przed demoralizującym i ogłupiającym wpływem ideologicznym „książki do czytania". Nie mówię tu o utworze Axela Munthe, mówię o całym rodzaju, choć nie chcę zaprzeczać, że można znaleźć sporo wyjątków z tej reguły. Chodzi o sprawę zasadniczą: pogląd — nawet najzupełniej słuszny — bywa tu zazwyczaj narzucany za pomocą emocjonalnego wmówienia, albo podsunięty jako dowolny paradoks. Uwzględniając okoliczność, że miłośnicy „książek do czytania" chwytają bez wyboru wszystko, co im wpada do ręki, możemy z łatwością zorientować się, jak przeraźliwy bałagan pojęciowy powstaje w głowach wyładowanych takimi z byle powieści czerpanymi poglądami, uprzedzeniami, efektownymi głupstwami. Mowy tu być nie może o jakimś systemie i ładzie myślowym, frazesy pozbierane z różnych epok, z różnych obozów ideologicznych, z różnych pięter kultury tworzą ów groch z kapustą, który wypełnia mózgi wielbicieli „lekkiej" literatury.

Niebezpieczeństwo kulturalne „książki do czytania" wydaje mi się jednak daleko większe dla środowiska wiejskiego niż miejskiego. Bo w mieście nawet ludzie czytający i traktujący serio Maeterlinka, Mulforda, Lutosławskiego na ogół poprzestają na gadaniu głupstw na tematy podsunięte przez tego rodzaju „myślicieli", ale poza tym zajmują się normalną pracą jako aptekarze, dentyści, adwokaci, kupcy lub radni miejscy. Przeżycia związane z lekturą stanowią u wielu zazwyczaj taki sobie „kwadrans dla duszy" wyodrębniony mocno z praktyki codziennego życia.

Świat kultury i sztuki ujmowany jest tu zazwyczaj ze stanowiska konsumenta. Inaczej jest na wsi i w środowisku robotniczym, gdzie głód kultury związany z ambicją awansu socjalnego każe traktować świat wytworów kulturalnych bardzo serio i uznawać w nim zespół wartości o doniosłym znaczeniu praktycznym. Głupstwo wyczytane z modnej powieści przez mieszczańską gąskę posłuży tylko do popisania się „oryginalnością" w gronie koleżanek czy na niedzielnej herbatce u cioci Jadzi; to samo głupstwo wszczepione w chłonny i spragniony wiedzy, ale nie wyposażony jeszcze w nowoczesny aparat myślenia krytycznego umysł młodego chłopa czy robotnika może stać się przyczyną zasadniczego zwichnięcia.

Nasze masy ludowe wchodzą w naród. Ale wejście to nie może się odbyć w drodze przeskoczenia szczebli pośrednich. Styl życia tych warstw społecznych, które swoją mądrość czerpią „z książek do czytania", jest wzorem, na jaki masy ludowe patrzą co dzień. Jeżeli masy te nie unikną szkodliwego wpływu „książki do czytania", jeżeli nie damy im dobrej i wartościowej literatury popularnej, czeka nas zalew pół — i ćwierćinteligenckiego barbarzyństwa, zalew intelektualnej tandety.

Nie myślę bynajmniej zżymać się na wydawców Axela Munthe, Margaret Mitchell czy Jacka Londona. Przecież to są szczyty rodzaju! Błagajmy raczej naszą prywatną inicjatywę wydawniczą, żeby po wyeksploatowaniu tych pisarzy zebrała się do Aleksandra Dumasa i Eugeniusza Sue, gdyż w innym wypadku mogą zjawić się na rynku wydawniczym zbiorowe edycje Dekobry, Pitigrillego, Marczyńskiego, Mniszkówny, Zarzyckiej — a wtedy będzie jeszcze gorzej.

Nasza krytyka poświęca uwagę niemal wyłącznie publikacjom o wysokim walorze artystycznym i intelektualnym. Jest to zupełnie zrozumiałe, bo i niżej podpisany wolałby pisać o Dygacie, Żukrowskim czy Brezie, niż o zagadnieniach poruszonych w tym artykule. Trzeba jednak zdać sobie sprawę z faktu, że na jednego czytelnika książek wyżej wymienionych autorów przypada co najmniej dwudziestu czytelników Mniszkówny i Zarzyckiej. Jest to fakt o pierwszorzędnej doniosłości kulturalnej i faktu tego lekceważyć nie wolno. Krucjata przeciwko złej literaturze jest — zwłaszcza u nas — niemniej potrzebna niż propaganda dobrej literatury. Zagadnienie „książki do czytania" musi być wzięte na warsztat przez naszą krytykę, jeżeli chce ona należycie spełnić swoją misję kulturalną.

Jeszcze jedno małe wyjaśnienie: za pretekst do niniejszego artykułu posłużyła mi książka dr. Munthe. Było to sprawą przypadku. Sam problem gnębił mnie od dawna i Axel Munthe dostarczył mi po prostu okazji do wypowiedzenia się na ten temat. Nie należy więc traktować całego zasobu szewskiej pasji wtłoczonego w ten artykuł jako zwróconego przeciw „Księdze z San Michele". Było by to bowiem krzywdzące i dla książki i dla jej tłumaczki Zofii Petersowej, która dała — jak zwykle zresztą — przekład bardzo staranny i przyczyniła się tym w niemałym stopniu do popularyzacji wspomnień dr. Munthe wśród polskich czytelników.

Stefan Lichański

Zofia Dróżdż

NIEWYDEPTANE ŚCIEŻKI*)

Noc jest straszna i poza lasami na pewno szaleje zawieja. Prawdziwa, partyzancka noc, której panicznie boją się Niemcy i do której moje dwadzieścia lat niezupełnie jeszcze przywykły. Rozkaz przygotowania się do wymarszu zastaje nas zwinięte pod kożuchami na ławach. Rozkaz dotyczy mnie i Ludwisi. Stasia zostaje przy chorych. Ludwisia pierwsza zeskakuje z ławy, patrzy króciutko w ciemne okno i mówi:

— Och, co za wspaniała noc partyzancka! — i wzdryga się.

Ja także odrzucam z siebie kożuch i badam czarną głębię poza oknem.

— Taka noc rzeczywiście partyzancka — mówię i wzdycham.

Stasia mruczy coś, a Krystyna unosi się i prawie płaczliwie powtarza:

— Znowu idziecie. Wiem zawsze, ile wychodzi, a nie wiem, ile powróci.

Ludwisia oburza się:

— Masz jakąś manię do rachunków. Nie licz, kiedy wychodzą, nie licz, kiedy przychodzą; wszystko będzie w porządku.

— Nikt ci jeszcze nie zginął, dlatego myślisz, że to kwestia matematyki — powiada Krystyna.

— Nikt mi jeszcze nie zginął — bez goryczy powtarza Ludwisia, wciągając na nogi grube buty i wiążąc na głowie chusteczkę. Plecaki mamy przygotowane z wieczora, zarzucamy je na plecy i jesteśmy gotowe. Ludwisia wychodzi dowiedzieć się, kiedy wyruszamy i dokąd. Ja siedzę pochylona i próbuję zasnąć. Ale Krystyna budzi mnie.

— Ile razy wychodzicie, żałuję was, a potem przewracam się na ławie i odpoczywam do rana. Wy nazywacie się partyzantkami i ja także, wy patrzycie śmierci w oczy bardzo często, a ja tylko przypadkiem. Powiedz mi, Marysiu, czy nie jest to przestępstwem z mojej strony?

Patrzę na Krystynę sennymi oczami.

— Słuchajże — powiadam — gdybym ja robiła sobie w tej chwili wyrzuty, że tobie zginął ktoś bliski, a mnie to nie spotkało, to czy byłoby to logiczne. Jeżeli już ktośkolwiek ma sobie robić wyrzuty, to chyba ci tylko, których tutaj nie ma. Gdybyśmy Ludwisię posadzili za maszyną, choć ona igły nie umie nawlec, a ciebie ze słabym sercem wysłał pod kule, to byłby to nonsens. Bez logiki zaś walczyć nie wolno. Ty robisz wszystko, co powinnaś robić i gdyby to było w mojej mocy, obwiesiłabym cię wszystkimi krzyżami zasługi. Chociaż — dodaje po chwili — krzyże są godłami męki, a męki ty, zdaje się, masz dosyć.

Ludwisia wchodzi i tupie nogami, aby otrząsnąć śnieg. Głośno rozgrzewa ręce.

— Zaraz ruszamy — powiada — a dokąd, nie wie nawet Jasio.

— Jasio w innych sprawach jest wyrocznią — rzucam na wszelki wypadek złośliwie. — O tym może wiedzieć jedynie dowódca.

— Śpij, Krystyno — rzuca się na nią Ludwisia — jeżeli mnie nie posłuchasz, nic nie przywiozę ci z wyprawy.

Budzi się także Janina. Od razu orientuje się, o co chodzi. Zrywa się z ławy, kręci koło komina i za chwilę pijemy odgrzane mleko.

— Gdzież nam tak dobrze będzie, jak z tobą — wzdycha rzewnie Ludwisia — nigdy tak świetnie nie wyglądałam, jak teraz. Założę się, że jeżeli Niemcy mnie złapią, przeznaczą mnie z pewnością na mydło.

Janina żegna się. Ktoś puka w okna i krzyczy: — Wyjazd!

Mówimy pośpiesznie — do widzenia i wyskakujemy z chaty. Długo nie możemy oswoić się z ciemnościami. Ludwisia wpada na kogoś i krzyczy:

— Niedołęgo, do niemieckiej armii się nadajesz, nie do partyzantki!

Potrącony wybucha śmiechem i poznaję, że to Jasio. Ludwisia mamrocze coś, wściekła, że się tak fatalnie pomyliła, a on się odcina:

— Jeżeli twoje maniery nie są hitlerowskie, to w każdym razie fatalne. Oto dla was — zatrzymuje przejeżdżające sanie.

— Jasiu? — pytam jeszcze — nie wiesz czasem, dokąd?

— Wiem — odpowiada spokojnie — na karnawałowy kulig.

Furman podcina konie i doganiamy wydłużoną kolumnę, która właśnie przed chwilą ruszyła. W ciemnościach nie odróżniamy drogi, konie natomiast są spokojne i rozważne, czując, że orientacja i decyzja w kwestii wybierania jej należy do nich w tej chwili. Zimno jest takie ostre, że zaczynam przykrywać się sianem i tulić do Ludwisi. Ona mówi, jakby od niechcenia:

— Wiem, oczywiście, gdzie jedziemy. Janinie tylko mówić nie chciałam.

— Wiesz? — pytam. — Domyślasz się może?

*) Fragment z książki pt. „Niewydeptane ścieżki". Z. Dróżdż. Książka ta ukaże się wkrótce nakładem Instytutu Wydawniczego „Panteon" w Warszawie.

— W godzinę po nas wyruszy dwieście chłopskich furmanek. Nie na spacer z pewnością, a po żyto. A gdzie jest żyto, dzieci ci powiedzą.

— Będziemy zdobywać garnizon?

— Z pewnością.

Skrzyp sani jest tak głośny, że konkuruje prawie z ostrym świstem wiatru, który wyrywa się spoza chałup.

— Cieszę się — mówi Ludwisia. — Może udać się to i owo.

— Nie po to i owo jedziemy.

— Nie po to jedziemy, ale tak jedno przy drugim.

— Nie jesteśmy chyba bandą rabunkową— oburzam się.

— No i nie franciszkańskim zakonem. Spytaj któregokolwiek z żołnierzy, przekonasz się, co myślą w tej chwili. Obedrą Niemców, a przy tym i różnych przyjaciół. Nawet Stacho odgrażał się, że zmieni sobie kożuszek, bo zresztą i sama widzisz, jaki ma podarty.

— Ach, nawet i Stacho?

— Nawet i on także. Jutro odda pierwszemu lepszemu i znów będzie chodził w podartym, ale dzisiaj nie daruje. Cóż chcesz, moja droga, wojna!

— Wojna!

— Ty, oczywiście, jako zawodowa moralistka, będziesz miała coś przeciwko temu. A ja nie.

— Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby obrabować Niemców, ale sama wiesz, ile pada przy tym niewinnych.

— Hm, niewinnych... Siedzą sobie w domu i są niewinni. Łatwy sposób zdobywania niewinności.

Milczę.

— Nic nie mówisz? — pyta Ludwisia.

— Cóż tu mówić?

— Powiedz, dlaczego żałujesz ich, choć jest im ciepło i dobrze.

— Nie żałuję ich.

— Dlaczego, siedząc w domu, mają oni prawo do jedzenia, butów, spokoju, a my w lesie tylko do głodu i łachów? Dlaczego, skoro powinno być odwrotnie?



rys. Stanisław Cieloch

— Dlaczego odwrotnie? Z lasem związany jest głód i zimno, skoro zdecydowałaś się na jedno, musisz przywyknąć do drugiego. Dla mnie to jest proste.

— Proste, nie proste, chyba przyszłość rozwiąże. Weź na przykład takie różne kobiety. Są one w domu, a gdy wojna się skończy, będą wypoczęte i ładne. Każdy, kto na nie spojrzy, uśmiechnie się życzliwie. A ja mam takie uczucie, że od ciągłego noszenia plecaka zgarbieję. Nie można przecież być prostą, jeżeli cię coś tak miesiącami przygniata. A poza tym buty mam krzywe. I jeszcze do tego dziurawe. Śniegu się w dziurę napycha i potem uciska, jak kamień. Garbata będę i nogi mi powykręca. Muszę buty odmienić i chustkę Janinie dostać. A moralne to, czy nie, po wojnie podyskutujemy.

— Będziemy i teraz i nie ze względu na moralność.

— Ach nie ze względu na moralność. Myślisz, że jak będziemy porządni, to będzie nas więcej, że tamci się do nas przyłączą. Na odwrót. Jeżeli będziemy syci, ładnie ubrani i na koniach, to nie odpędzimy się od amatorów. Nie znasz ludzi, moja droga.

— Może i znam.

— Ach, znasz może. To pewnie i lepiej. Jak ich obrabujemy trochę, to przyjdą do nas, aby sobie odbić na innych.

— Przestań!

— Oho, już się oburzyłaś. Ja zresztą teraz żartuję. Ale choć żartuję, mówię prawdę.

Sen moży mnie pomimo wichru i chłodu.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać?

— O czym tutaj rozmawiać?

— Ja muszę czasem rozmawiać. Jak porozmawiam, robi mi się lżej. Ty przecież także jesteś kobietą, ba, nawet panienką. Nigdy nie myślisz jednak, jak to będzie potem. A popatrz, spódnica twoja ma nieokreślony kolor i na twarzy masz takie liszaje, jak moje.

Śmieję się.

— Śmiejesz się — mówi Ludwisia — śmiejesz się, bo tu jest las i brak innych kobiet. A potem zobaczysz.

— Mylisz się, Ludwisiu, sądząc, że nie myślę, jak będzie po wojnie. Ale jeżeli interesuję się tą kwestią, to z innego punktu widzenia. Można powiedzieć — psychologicznego. My tutaj żyjemy w dziwny sposób. Ciągle skradamy się, podejrzewamy, czaimy. Boję się, że jeżeli przeżyjemy wojnę, będziemy się czaić wobec życia. Będziemy mu nie dowierzać, będziemy ciągle czekać na zasadzkę. Pomyśl tylko... My przyszliśmy tutaj nie ze względu na własne korzyści, przyszliśmy dla walki, ojczyzny, czy jak tam chcesz, żeby nie było zbyt górnie, i pomimo tego dyskutujemy na temat kożuchów. Czy wobec tego nauczymy się wierzyć kiedykolwiek w czyjąś absolutną uczciwość. To jest ważne. Nie liszaje na twarzy. One na pewno zejdą, Ludwisiu. Z własną duszą nie damy sobie rady.

— O duszy mówisz? A ja na odwrót, staram się o niej nie myśleć. O duszy powinni myśleć przede wszystkim Niemcy. O duszy i o niebie. A my nie. Zapamiętaj sobie.

Konie gwałtownie zatrzymują się. Furman klnie niewiadomego sprawcę incydentu. My otulamy się szczelnie. Wiatr poprzez wypełzłe spódnice dobiera się do ciała i w twarze bije lodowaty szron. Oczy, zapanowawszy nad nocą, wchłaniają w siebie ciemności i widzimy drzewa ponad drogą, białe zagony śniegu i burą kresę widnokręgu. Konie szarpią się, ruszamy. Ludwisia milczy, potem się otrząsa.

— Brrr. Zimno. Nie lubię jeździć taką porą. Zamarznąć można, zanim pomyślisz o śmierci.

— Kiedy idziesz, niepokój cię męczy, że nogi sobie wykręcasz, że grzbiet ci garbieje, teraz znowu boisz się zmarznięcia. Wojna, widzę, nie odpowiada ci w żadnym przejawie. W panieńskim pokoiku lepiej.

— Panieńskie pokoiki nie odpowiadają mojej naturze, ale jutro naprzykład w południe... Przyjeżdżamy, a Janina wybiega. Na kominie coś tam dymi i Krystyna liczy nas uważnie. Liczy i dolicza, bo nas jest tylko dwie.

— Może się nie doliczyć.

— Mnie się na pewno doliczy. Ja jeszcze nie skończyłam swojej misji.

— Jakiej to misji?

— O! takiej jednej, dyskretnej.

Zimno jest coraz przykrzejsze. Horyzont marzeń Ludwisi zacieśnia się.

— Co tam jutro w południe, już rano będzie po wszystkim. Jeżeli będę mieć lepsze buty, to nogi mi nie pomarzną. Nogi, Marysiu, dokuczają mi. Na pewno je odmroziłam. Żeby nie nogi, jakoś wszystko byłoby weselsze.

Kolumna znowu przystaje, furman klnie, my wyskakujemy z sani. Biegamy tam i z powrotem, żeby się rozgrzać, ale rezultat jest słaby. Potem znowu siadamy, przytulamy jedna do drugiej, jedziemy. Ludwisia milczy tym razem, więc ją zapytuję:

— Milczysz, straciłaś ochotę do rozmowy?

— Ludwisia wstrząsa się.

— Wiesz, nie do rozmowy, a tak w ogóle.

— Dziwne, ile razy wychodziłaś z żołnierzami, byłaś u szczytu uciechy, a dzisiaj... strach może?

— Nie strach. Ja cieszę się, kiedy dochodzi do walki na polu, na drodze, lub w lesie. A w garnizonach mogą być pomyłki.

— Mówiłaś niedawno, że może być to i owo.

— To swoją drogą, a swoją drogą inne sprawy. Opowiem ci jeden taki wypadek.

To było wtedy, gdy ty jeszcze nie nazywałaś się partyzantką. Ja byłam już, oczywiście, w oddziale, miałam nawet te same buty, co teraz. Zdobywaliśmy miasteczko, w którym niedawno mieszkałam. Poszło to dosyć szybko. Miasteczko było niewielkie, Niemców także niedużo. Kiedy wpadliśmy do środka, ogarnęło mnie jakieś szaleństwo. Biegałam od domu do domu, obiecywałam koniec wojny, dawałam podarki. Wreszcie przypomniałam sobie jednego kolegę, który pracował z partyzantami jeszcze w 41 roku. W pobliżu stał wtedy oddział rosyjski, niewielki jeszcze, kilkunastu jeńców wojennych, którzy uciekli z obozu. On, ten kolega właśnie, był ich prawą ręką. Aby mógł lepiej pracować, poradzono mu wstąpić na służbę do Niemców. Tak też i zrobił. Został ich tłumaczem. Nie miał, oczywiście, żadnych dokumentów na to, że służy im według określonych instrukcji. My o tym wiedzieliśmy i wiedzieli owi partyzanci. To wówczas starczyło. Biegłam do jego mieszkania, aby zabrać go z nami i tak razem „pocieszyć" się. Wpadłam jak wiatr, ale zatrzymałam się jeszcze szybciej. W mieszkaniu jego było pełno chłopców. Wyprzedzili mnie. Roztrąciłam ich i ujrzałam rzecz straszną. U sufitu wisiał trup, a żołnierze pociągali go za ręce i nogi, pluli w twarz i wymyślali. To był on. Trudno było rozpoznać, ale ja znałam go tyle lat. Poznałam. Któregoś z żołnierzy schwyciłam tak mocno za gardło, że trzasnął mnie w zęby.

— Powiesili go? — pytam prawie szeptem.

Ludwisia milczy przez chwilę.

— Nie powiesili, kazali mu się powiesić. Tak się później okazało.

Furman wymyśla koniowi i wiatr tak gwiżdże, że ledwie słychać Ludwisię. Za to ja pytam już, krzycząc:

— Kazali się powiesić — dlaczego?

Ludwisia otrząsa się i pewnie spogląda mi w oczy, choć tego nie widzę.

— Ciągle o psychologii mówisz — odpowiada wreszcie — a kiedy przychodzi do czego, niewiele wiesz więcej ode mnie. Kazali mu się powiesić, bo był niemieckim sługą, a jeszcze do tego ktoś dowiódł, że on zgubił tamtych partyzantów. W istocie, Niemcy ich podobno złapali.

Teraz nie rozmawiamy już wcale. Być może zdrętwiały mi nogi, bo żadnego chłodu nie czuję. Na odwrót, jeden palec piecze mnie, jakby z gorąca. To ciepło niepokoi mnie chwilę, ale i o nim zapominam. Na horyzoncie majaczy jakieś światełko, na pewno jesteśmy u celu podróży. Mimo woli budzi się we mnie niepokój. Furman klnie coraz głośniej, ciemności działają mu na nerwy.

— Partyzancka noc — mówi — a diabli wesele wyprawiają. Znam ja je, rodzonego brata wtedy nie poznasz.

— Nie z braćmi to, zdaje się, będzie sprawa.

— Dzisiaj nie z braćmi, ale raz było i z braćmi. Dwie grupy wyszły na linie. Ciemno było jak dzisiaj. W lesie jakby czarownice śpiewały. Wszyscy cieszyli się, że takiej nocy za jednym zamachem dwa pociągi można wysadzić. Dwóch braci u nas było wtedy. Co to byli za chłopcy. Oni to wyszli na linię, jeden z jedną, drugi z drugą grupą. Obaj byli dowódcami. Do rana obydwóch nieżywych przynieśli.

— Niemcy? — pytam.

Woźnica wzdycha.

— Nie Niemcy. W ciemnościach drogi pomylili i natknęli się na siebie. Postrzelali. Diabelska robota, diabli Niemcom pomagają. Nieraz to już sprawdziłem.

OD REDAKCJI:

PRZYPOMINAMY,

że termin nadsyłania prac

konkursowych
na ludowy utwór sceniczny

upływa w dniu 1 listopada 1946 r.

Na konkurs można nadsyłać tylko utwory dotychczas niedrukowane, natomiast rzeczy które były wystawione, ale nie drukowane, mogą uczestniczyć w konkursie. Do tekstu należy dołączyć zaklejoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora, przy czym na kopercie należy umieścić godło. Takie samo godło należy wypisać na egzemplarzu sztuki.

Po zamknięciu konkursu, redakcja tyg. „Wieś" w porozumieniu z kierownikiem Wydz. Kultury Zw. Samopomocy Chłopskiej, poda skład Sądu Konkursowego. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie pierwszeństwo nabycia i drukowania nagrodzonych i nadesłanych utworów.

NAGRODY: I — 20.000 zł
II — 15.000 „
III — 10.000 „

Wojna i odbudowa

Tadeusz Papier

PRZEMIANY

KRAJOBRAZY

Z Buska prowadzi bita szosa na Broninę, Szczaworyż, Stopnicę. W pewnym momencie za Broniną od szosy tej odchodzi odnoga na Widuchowę, Janinę, Budy. Odnoga ta, dobra szosa, wysadzana drzewami, powstała podczas wojny. Robili ją chłopi z okolicznych wsi. Batuta okupanta? Może nie bardzo, bo jak słychać szosę tę planowały polskie czynniki samorządowe, umiejętnie podsuwając Niemcom projekty, które miały przynieść w końcu korzyść okolicznym wsiom. Lecz w owym czasie szosa była przekleństwem. Tędy szły na wsie groźne auta z kolumnami żandarmów i sonderdienstu. Szły transporty więźniów, szły fury do niemieckich śpichrzów z ostatnim zapasem chłopskiego chleba. Prawdziwa szosa płaczu, którą budowali wszyscy chłopi.

Ludzie klęli tę robotę, ale dziś ją błogosławią. Opłacił się **zorganizowany** (ale przymusowy i ciężki) zryw! Dziś szosa ta, przecinająca gminę Szaniec i zachodni skrawek gminy Szczytniki staje się główną arterią gospodarczą i komunikacyjną dla wsi położonych bliżej i dalej. Zadatkiem na nowe życie. Jakie ono jest? Jest wolna, lecz systematyczna i planowa odbudowa spalonych wsi, Szczytnik, Skrobaczowa, dokonywana za poparciem państwa. Jest tu i ówdzie powstający własnym przemysłem i sprytem dom, często kryty blachą. Jest kilka szkolnych ławek, zamówionych ostatnio u miejscowego stolarza. Jest maleńki sklepik — spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej.

Ale okna szkoły są wciąż zabite deskami i deszcze zamieniają drogi w olbrzymie bajora. Ciężarne klacze porzucają często na tych drogach, kiedy ciągną wozy zanurzone po osie w błocie. Chałupy jak dawniej mają wygląd stary, opuszczony.

CHŁOPI

Mieszka w tych chałupach ten sam co przed wojną chłop. Trudno byłoby dziś podzielić ludność tych ziem na klasy małorolnych, średniaków czy bogaczy. Podział taki nie odpowiadałby znaczeniu społecznemu, jakie przypisuje się tym klasom. Często małorolny występuje obecnie w stosunku do przedwojennego bogacza jako chlebodawca. Odwróciły się role na skutek zawieruchy i zniszczeń wojennych, lecz nie zmienił się charakter tych ról. Pozostała ta sama hierarchia oparta na niezmiennych elementach posiadania pieniędzy, ziemi, bogactwa.

Są różnice między chłopami. Różnice dostatku, zamożności, ubioru, znaczenia. Jak dawniej biedniejsi chodzą do bogatszych „na odrobek“ końmi, czy za zapłatą. Płaci się dziś chlebem i pieniędzmi. Ale jest coraz trudniej o robotnika. Mimo powojennego kryzysu praca jest i czeka. Otwierają się perspektywy za Zachodzie i w mieście. Obserwujemy wielkie ruchy chłopskie za chlebem. Odjeżdżający zostawiają swoje warsztaty pracy drugim. Jest praca i wybór większy. Więc wartość człowieka wzrasta. Nędzarz staje się człowiekiem.

Wojna przemieszała tych ludzi: bogaczy i biednych. Organizacja nowego życie i start do awansów społecznych dopiero się zaczyna. Start nierówny, bo kto ma mocniejszą podstawę, ten silniej się odbije. Ale trzydziestu przedwojennych „parobków“, kaprali i plutonowych rezerwy (a wojennych partyzantów) dziś ma gwiazdki oficerskie. Są porucznikami i kapitanami. Część ich jest na służbie publicznej, niektórzy popowracali do domów i orzą ziemię. Budują domy.

Ale oto w paru gminach na czele stoi chłop małorolny. Sołtysami na miejscu starych, wojennych, są wszędzie ludzie nowi, którzy dotychczas nie zajmowali żadnego stanowiska w gromadzie. Rada gminna, w skład której wchodzą chłopi wszystkich odcieni majątkowych, decyduje o sprawach gromadzkich, kierując się kryteriami dotąd nieznanymi. Nie znaczenie wypływające z majątku, ale wartość osobista i znajomość rzemiosła wysuwa się teraz przy wyborze kandydatów na stanowiska w gromadzie.

Oto właściciel 20-morgowego gospodarstwa mówi: dziady się ruszają. Dziady posyłają dzieci do szkół. Po co?

DWA ŚWIATY

Na wsi jak dawniej są trzy latarnie wskazujące chłopom drogę marszu. Jest kościół i ksiądz, jest gmina, jest szkoła. Odpadł dwór choć niezupełnie. Pozostało jeszcze coś z niego, wspomnienie, nawyk, wychowanie. Stary Sikora nie może się opędzić od wspomnień. Hej, dawniej bywało! Pan, pani, kareta, wieńce dożynkowe. Kiedy mówi o tym, niemal ma łzy w oczach. Sikora był karbowym, stał więc w hierarchii robotniczej dworu dość wysoko. Często chwytał kąski spadające ze stołu pana — nic dziwnego, że wspomnienia ma barwne, żywe, interesujące.

Ale świat ten przeminął. Można cichy jego odblask znaleźć jeszcze przy plebanii. Lecz jest to już nie to samo. Kiedy stary Sikora dzwoni na wieczorny Anioł Pański, wydaje mu się, że przywołuje tamto życie, odległe, nierzeczywiste.

NOWY CZŁOWIEK

Straż przy kościele, gminie i szkole pełni inteligencja. W części ta sama, co przed wojną. Nieufna. Niezgrana ze wsią.

W latach przedwrześniowych nawet inteligenci pochodzenia chłopskiego, żyjąc na wsi, w najlepszym razie realizowali swoje marzenia o pracy „dla ludu“, w postawie cierpiącego bohatera, rzucającego wszystko dla idei... nieokreślonej bliżej obowiązkami. I w tym wypadku istniał, mimo oczywistych wyników pracy, między tą grupą ludzi a chłopami naturalny przedział.

Dziś zaciera się różnica między wysepkami inteligencji a chłopskim morzem. Nie na skutek przemian wewnętrznych inteligentów, a na skutek przypływu nowych sił, rekrutujących się z rzeszy chłopskiej.

Oto personel gminy Szczytniki: na sześciu pracowników zarządu gminnego, pięciu chłopów i kierownik — przedwojenny sekretarz, rzetelny pracownik.

Z tych pięciu jeden jest po maturze licealnej, dwoje po kursach i praktyce równoważącej klasy gimnazjalne, wójt — społecznik, działacz polityczny przedwojenny i konspiracyjny. Gmina ta wydała po wojnie 6 nauczycielek, **pracujących** czynnie w pobliskich wsiach. Z tych nauczycielek dwie mają maturę licealną, jedna po pierwszej klasie liceum, trzy po maturze 4-klasowego gimnazjum i kursach pedagogicznych. Funkcję agronoma rejonowego pełni chłop, który mógłby ze względu na swoją wiedzę fachową być zarówno kierownikiem centrali handlowej, jak doradcą i zastępcą starosty dla spraw gospodarskich. Kierownikiem urzędu aprowizacyjnego również rodzimy chłop.

Oto doraźny wynik życia konspiracyjnego, dokształcającego jednej gminy podczas okupacji. Wszak ci pracownicy — absolwenci gimnazjum — prócz jednego, wszyscy oni byli uczniami tajnej szkoły. To mało — ktoś zapyta? To jedna gmina dopiero, która poniosła najcięższe straty ludzkie podczas wojny, a gmin w powiecie jest przeszło 20. I gmina czeka jeszcze na powrót tych, którzy się uczą.

Ale oto wójt już nie jest dawnym narzędziem sekretarza, co to „ksiażki pisze“, lecz prawdziwym kierownikiem instytucji. Oto myśli się o wprowadzeniu na wieś szpitalików, żłobków, dokształcających szkół, są już spółdzielnie, więc także, te instytucje nie dadzą po upływie paru lat nowej klasy inteligencji chłopskiej, która nie będzie się odróżniać ani wykształceniem, ani zainteresowaniami od reszty chłopów? Jeszcze parę lat! Wszak powstają na wsiach nowe szkoły ośmioklasowe. Wszak jak słychać, gdzie indziej już są wsie oświetlone elektrycznością.

PIONIERZY

Czy motywem pozostania lub powrotu na wieś dzisiejszego chłopskiego inteligenta jest czynnik tylko społeczny, jakieś poświęcenie? Bezwątpienia. Lecz istotny jest i drugi motyw, dotychczas niezauważony. Bo oto sekretarz jednej z gmin, chłop po maturze, powiada:

— Chcę być tu. Dlaczego mam iść gdzie indziej? Tu mam pracę, którą lubię, szacunek, poważanie. To by chyba przeważyło. Ale i **opłaci mi** się tu być. Przy tym skromnym wynagrodzeniu (jak skromnym!) dam sobie jakoś radę, nawet gazety prenumeruję, książkę kupię. Zdobędę się na radio. Urlop? Spędzę w mieście. Pójdę wtedy do teatru, kina.

W długie wieczory jesienne siedzi ów sekretarz w kancelarii gminnej i czyta przy naftowej lampie. Przygotowuje się do pracy i do lekcji. Wszak musi uczyć, jutro ma odprawę z sołtysami (nie konferencję, a odprawę, jak w partyzantce, bo to jest okres bohaterski na wsi, ten okres budowania). Druty telefoniczne wydają monotonny, jednostajny dźwięk. Cały pokój jest przepełniony tym dźwiękiem, dziwnym, niepokojącym. Ale jest miło tak.

W drugim domu obok, nauczycielka, chłopska córka, poprawia wypracowania szkolne. Rośnie góra zeszytów, każdy zeszyt mówi co innego o jego właścicielu. Abratański — ten z góry, syn gospodarza o dwu hektarach ziemi, nie może nigdy nauczyć się pisać wyrazu — pszczoła, — wie, że po p powinno być rz, więc dlaczego jest sz? Ale pracowity właśnie jak pszczoła. I pisze ten chłopak:

„Chciałbym być szoferem, żebym mógł poznać dobrze motory, żebym mógł nimi orać. Orałbym wszystkie pola za pomocą motoru“.

Jest w tym wypracowaniu coś, co każe nauczycielce postawić, mimo licznych błędów i niezręcznych sformułowań stopień **bardzo dobrze.** Nauczycielka uśmiecha się czytając tę wypowiedź chłopskiego dziecka. Głaszcze zeszyt, jakby czyjeś włosy, i spogląda w czarne okno, za którym noc. Przechyla głowę na bok i z zamkniętymi oczami po raz nie wiadomo który ogląda swoją wyśnioną, przyszłą wieś, szkołę z jasnymi, dużymi salami, domy z białego kamienia, drogę wysadzaną drzewami i motory, motory.

Jest jeszcze ktoś drugi, podobny. Nazwijmy ją **córką chłopa.** Bo istotnie ojcem jej jest chłop. Podczas wojny uczęszczała na tajne komplety gimnazjalne, maturę zdobyła w pierwszym roku pokoju, po maturze poszła na kurs agronomów w Krakowie. Została agronomką rejonową. Ma pod sobą parę gmin. Zdaje się, poświęci się tej pracy do końca życia. Może jej będzie źle, może zatęskni za innym światem, jak jej koledzy i koleżanki przed wojną? Chyba nie. Córka chłopa, po maturze wyszła za mąż za miejscowego działacza chłopskiego bez matury. Chłop ten, jej mąż, zdobył inną maturę ogólnokształcącą, praktyczną, życiową, kto wie, czy nie lepszą od tej w gimnazjum. Nie ma pomiędzy nimi różnicy. Zgadzają się. Są symbolem zdrowego ziarna, które dopiero po oczyszczeniu, rzucone zostało w ziemię.

I ten sekretarz i nauczycielka i agronomka, nowi chłopi, są naprawdę, działają w jednej z gmin powiatu stopnickiego.

PRÓŻNIA

Są na wsi przedstawiciele i resztki dawnej inteligencji urzedowej, którzy podobnie jak dzwonnik Sikora nie widzą i nie dostrzegają nowego życia. Są to ci, którzy przez demokratyzację życia, stracili znaczenie jakie posiadali przed wojną, znaczenie osobliwej powagi, niedostępności, nimbu. Polot „pańskości“. Powab władzy.

Może to jest pewien pracownik gminny, któremu nie odpowiadają uchwały rady gromadzkiej. Może to jest pewien nauczyciel, który nie uznaje nowego programu w szkole. Może to jest pewien pracownik spółdzielni, który sprzedaje nie swój towar pośrednikowi i zyski zabiera do swojej kieszeni. Może to chłop jest, chowający nadmiar zboża w sąsieku, gdy wokół jest bieda i głód.

Oni są naprawdę, ci ludzie, tkwiący w próżni społecznej, **tam w powiecie,** między dwoma czasami; jeden z tych czasów minął, drugi się staje dopiero.

KOŁO

Ale oto na wsi powstają koła: młodzieżowe, polityczne, gospodarcze, społeczne. W każdej wsi ma powstać teraz koło „Wici“, rozrasta się sieć kół Samopomocy Chłopskiej, rywalizują ze sobą stronnictwa ludowe. Koła te, jakiekolwiek są, wnoszą duże zmiany.

Przed wojną pisała młoda działaczka wiciowa:

„Gdy przed dwu laty młodzież naszej wsi organizowała się w koła wiciowe, to zdawało mi się, że te piękne cele wiciowe nie dadzą się wcielić w życie naszej wsi. Ale teraz po dwuletniej pracy, gdy się patrzę na życie wsi, to zauważam olbrzymią przemianę. Dawniej żadna zabawa nie przeszła bez awantur. Ciągłe bójki, które były jakby wyrazem „honoru“ naszych chłopców, teraz zupełnie ustały“.

Otóż to: piękne cele i olbrzymia przemiana: ustanie bójek.

Czy pamiętacie noce księżycowe, te najpiękniejsze noce na wsi, kiedy można czytać gazetę przy białej ścianie chałupy i żyta i śpiew „chłopaków“ wiejskich, o których Chałasiński wspomina, że żyli w próżni. Słychać było ich długo w noc, wracających z zabaw. Było to wzruszające i smutne. Były to zawołania, był to zew pojedyńszych ludzi. Może oznaczał on tęsknotę za gromadzkim życiem?

Powiew wojny zniszczył ten śpiew. Czy odrodzi się on w chóralnym i zespołowym śpiewie w świetlicy?

Zmiana dziś nie oznacza tylko zaprzestania bójek. Nowa organizacja życia, dokonane za staraniem chłopa i robotnika reformy społeczne, rolne i przemysłowe narzucają środowisku chłopskiemu pewne ramy strukturalne, w których chłop, jeśli chce żyć, musi się obracać i musi stawiać przed sobą zależne od tej struktury problemy do rozwiązania. Więc konkretne zadania gospodarcze, spółdzielcze, polityczne; więc konkretna robota, do wykonania na resztówkach Z. S. Ch., w spółdzielniach, szkołach rolniczych, zakładach przemysłu rolnego, młynach, gorzelniach, tartakach. Więc biblioteka, książka, radio; więc odbudowa.

Okres przedwojenny — to okres mobilizacji, okres dzisiejszy — okresem zwycięstwa, planowania i realizacji. Jeśli wieś cofnie się do okresu mobilizacji — któż wtedy zastąpi chłopa w bieżącej pracy? Czy ludzie „z próżni“? A ile spółdzielni dotychczas na wsi powstało? Jedna na gminę!

NIEZNANYM

Jest tu mowa przeważnie o nowych ludziach. Wyrośli oni z konspiracji. Wyrośli z przedwojennych szeregów stronnictwa. Nie potrzeba wymieniać ich nazwisk. Może niektórzy przejdą niezauważeni. Może mniej godni i gdzie indziej zostaną odznaczeni. Cóż to znaczy dla tego, który pracę pojmuje jako konieczną czynność organizmu, jak oddychanie. Oni tworzą, oni organizuja. Wbrew wielu. Może wbrew większości. Może wbrew własnemu interesowi.

Ale wsie są popalone. Kiedy się liczy zniszczone domy, mosty, drogi, kiedy bierze się do ręki budżet gminy nie większy od budżetu jednego pisma w mieście — gdzie szukać ratunku, jak nie u tych ludzi. Może u jakiegoś sekretarza, który po nocach pracuje, może u sołtysa, może u chłopa małorolnego, działacza, może u studenta, który składając wniosek o przyjęcie go na wydział lekarski uniwersytetu, przedkłada jednocześnie zaświadczenie organizacji wiciowej o szczerym i prawdziwym zamiarze powrotu na wieś w charakterze lekarza-społecznika. Tak było w tym roku. Pięciu ich wyruszyło z buskiego gimnazjum. Do Łodzi, Gdańska, Wrocławia i Krakowa. Wszyscy POWRÓCĄ. Na pewno.

Jest źle, jest wiele złego. Ale dlaczego nie napisać i o tym co dobre?

ZIEMIA I KREW

Wrześniowe słońce rozsnuwa nitki babiego lata. Chłopi mówią: pajęczyna włóczy się na pogodę. Jest to jeden z nieomylnych prognostyków pogody.

Z góry wiatrakowej widać skąpaną w zieleni i słońcu Janinę, kilkadziesiąt domów przytulonych do starego kościoła. Z daleka tuż przy wstędze lasu koteckiego lśni szosa, ta dawna szosa płaczu. A teraz symbol nowego życia. Szosa łączy gminę ze światem. Szosa na wsi — jak dostęp do morza. Jakie statki przypłyną do tego opuszczonego i zniszczonego portu? Szosa lśni w słońcu srebrzyście i ginie w ciemnym lesie. Już dalej jej nie widać. Za to z boku wzrok zatrzymuje się na pożółkłej zieleni cmentarza. Przebłyskują białe, brzozowe krzyże. Leżą tam chłopi postrzelani przez Niemców. Za nowe życie.

Józef Bińczak

W szkole spółdzielczej

Wsiadłem do pociągu z pewnym niepokojem. Co zastanę w Kołudzie?

Lecz przykrych, niespokojnych myśli nie mogłem rozproszyć ani rozmową z pasażerami, ani też przesuwającymi się poza oknem wagonu krajobrazami.

Na dobitkę tego, musiałem być jeszcze świadkiem takiej oto sceny: na którejś stacyjce atakuje przepełniony wagon tłum ludzi, przeważnie wiejskich, biednie ubranych, z dużymi koszami, tobołkami.

— A, do pioruna, zawsze te chamy tak się pchają! — rzuca niespodzianie z poza zaciśniętych zębów jakiś biały i pulchny na buzi chłystek, lecz — po wypowiedzeniu tego — uchyla nagle głowę, pewnie błysło mu w myśli, że przecież w jednym momencie za to jedno słowo obelgi może spaść na jego przemiłą, delikatną twarz — jakaś szorstka, twarda pięść. Nie wiem, czy miał odciski ten facet, dość jednak — został wyprowadzony z równowagi i ujawnił głośno to, co oddawna nosił w sobie na określenie tej warstwy ludzi, którzy przed chwilą śmieli prosto spod swych strzech wtargnąć do wagonu, jakby (tak należy przypuszczać) nie wiedzieli, że im powinny służyć tylko ich własne nogi, a nie wyższe środki lokomocji, jakimi na przykład są szybkomknące, żelazne koła...

Od Bydgoszczy do Janikowa jechałem koleją kilkadziesiąt klm, a stąd do Kołudy Małej musiałem iść jeszcze kilka klm, więc okazało się, iż Kołuda nie leży wcale „w pobliżu Bydgoszczy..."

— Proszę panią, czy tą szosą dojdę prosto do Kołudy? — pytam jakąś zgrabną dziewoję, idącą o kilka kroków przede mną,

Przystanęła nieco wystraszona i spod swych długich czarnych rzęs zmierzyła mię ciekawie.

— A do której Kołudy pan idzie?

— Do tej, gdzie jest szkoła spółdzielcza.

— O, to — proszę pana — pójdzie dalej pan tak prosto, a później z szosy należy spręcić w lewo, zresztą wnet wskażę panu dokładniej, bo ja też w tym kierunku idę...

— Pani idzie również do Kołudy Małej?

— Nie, ja nie idę t a m, ja mieszkam po drugiej stronie jeziora — odrzekła i wyczułem, że słowo „tam" wymówiła z pewną niechęcią...

Wyłoniły się pierwsze zabudowania. Spojrzałem z pewnym niedowierzaniem na pękate, jeszcze niemłócone sterty ze zbożem. Spośród czworaków uderzył ostry zapach przegniłych, buraczanych z dołów liści, przed kuźnią stało kilka dobrze utrzymanych koni. Przez na wpół otwartą bramę, zdążyłem zerknąć do obory na piękne, tłuste krowy... I ujrzałem przed sobą w wyobraźni doszczętnie zniszczony pas powiśla opatowsko-sandomierskiego... A tu — gdzieby nie spojrzeć, widziało się, jakby huragan wojny w ogóle tędy nie przeszedł.

O, szczęśliwa ziemio... — pomyślałem.

Na krótko przystanąłem pod szumiącymi przenikliwie świerkami. Nasłuchując, rozumiałem — że to nie wiatr, nie świerki, a ziemia poprzez korzenie, pnie i wierzchołki — śpiewa sobie, ot tak, najprościej — swą pierwszą wiosenną pieśń.

Ciekawie patrzyłem na piękny, jednopiętrowy dom, który tak jeszcze niedawno pałacem był dla kilku zaledwo osób... Każdy kamień, każdą belkę dźwigały w niemałym mozole i trudzie chłopskie, wytrwałe dłonie... O, nie, nie — nie komu innemu, a właścicielom tych rąk, ku ich pożytkowi dom ten powinien służyć...

Wszedłem. Żadnego odgłosu, pewnie mają jakieś ciche zajęcia... Spojrzałem ponad balustradę. Portret: Napoleon przedstawiony w naturalnej wielkości, rozparty wygodnie, z miną ogromnie władczą, lecz — na twarzy znać już przygnębienie i smutek, może w przeczuciu mającej przyjść wnet klęski... Ma skroń dwukrotnie przestrzeloną. Pewnie uczynił to jakiś żołnierz z „niezwyciężonej" armii Hitlera, który kiedyś tu kwaterował i nie chciał pogodzić się z tym, aby Führer'a mógł ktoś inny przerastać sławą, albo też — myśląc o swej rodzinie i skutkach wojny, chciał wyrazić w ten sposób swe przekonanie, iż wojen w ogóle nie powinno być i tym wszystkim tak należy czynić, którzy tylko pragną wojennej sławy i lubią upajać się zapachem krwi...

Bystre oczy z tego portretu zdawały się pytać: „po co, w jakiej sprawie tu przychodzisz?"

Dwie duże palmy stojące przy wejściu na marmurowe schody, pilniej poczęły olbrzymimi kiśćmi swych uszu nasłuchiwać...

Rozejrzałem się dokoła nieco weselej...

Zapukałem. Ukazała się młoda niewiasta. Na pytanie „czy mógłbym się widzieć z panem Flejszarem", widzę w jej oczach zdumienie, niemal przestrach, pada odpowiedź, że nie, że Flejszara już nie ma...

— Jak to?? — pytam z niedowierzaniem i przychodzi mi na myśl, iż nie tak jeszcze dawno — w taki sam prawie sposób odpowiadano, jeśli zjawiało się po kogoś gestapo...

— Ależ — mówiono mi, że pan Flejszar tutaj się znajduje... Może pani zechce łaskawie mu zakomunikować, iż przyjechał do niego...

Drzwi szerzej się otwarły i ze słowami „proszę, jestem" ukazał się mężczyzna zupełnie mi obcy, nieznajomy...

— Czyżby ktoś — pomyślałem — podszywał się pod imię Flejszara?...

Od słowa do słowa i sprawa się wyjaśniła: otóż zaszła pomyłka z powodu podobieństwa nazwisk. Zastałem więc nie Flejszara Mieczysława, który przed wojną pisywał w „Wiciach" pod pseudonimem Efem i z którym chciałem się widzieć, a Fleszera Teofila — z zawodu nauczyciela, obecnie kierownika koedukacyjnej „Państwowej Szkoły Spółdzielczej dla Dorosłych w Kołudzie Małej..."

— Myślę, że nie ma tu wielkiej różnicy — usłyszałem niespodzianie — bo jeżeli przyjechaliście, jak mówicie, do „starego" wiciarza Efema, to ja zaliczam się również do „starych", a nie do „młodych", czy „nowych" wiciarzy, a przy tym — prawie że nie ma nawet różnicy w samym nazwisku, niechże więc wydaje się wam, iż żadna, żadna pomyłka was nie spotkała...

Następnego dnia baczniej przyjrzawszy się wszystkiemu dookoła, zwierzyłem się kierownikowi Fleszerowi, iż szkoła ta — mimo regularnego rozkładu zajęć i ustalonego programu wykładów, robi jednak na mnie wrażenie uniwersytetu ludowego... Zapytałem, czy jest więcej takich szkół spółdzielczych o podobnym charakterze.

— W tej chwili, zdaje się, że wiele takich nie ma, ale może być w przyszłości dużo więcej, bo przecież tak we władzach spółdzielczych, jak i szkolnych znajduje się wielu wiciarzy, a nawet i wychowanków Solarza, przeto nie trudno w tych szkołach można będzie poczynić pewne zmiany — odpowiedział kol. Fleszer i pokazał mi opracowany przez siebie projekt, który zamierzył przedstawić władzom przełożonym (Zw. Rew. Spół. R. P. — Okręg Pomorski i Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego w Toruniu) i w którym znalazłem takie nawet uwagi:

„...Zorganizowanie internatu wymaga od ob. Dyrektorów dużo inicjatywy, twórczej myśli wychowawczej, przedsiębiorczości, oraz pewnych doświadczeń w kierunku spółdzielczego samowychowywania i samokształcenia się uczni.

„W tym zakresie radzimy ob. Dyrektorom o zwrócenie się do znanych w Polsce internatowych szkół spółdzielczych, posiadających już wypróbowane metody pracy internackiej, o udzielenie szczegółowych informacji. Przy sposobności nadmieniamy, że internatowe szkoły spółdzielcze pod względem metod pracy wychowawczej upodabniają się niemal całkowicie do metod uniwersytetów ludowych typu Solarza".

Na kilka godzin przed wyjściem do stacji, usiadłem w małym pokoiku „na górze", skąd przez okno roztaczał się naprawdę piękny widok na jezioro. Nie pamiętam, abym skądś wyjeżdżając — roztkliwiał się, a jednak wtedy, mimo tak krótkiego tam pobytu, poczułem w sobie żal, że muszę ten uroczy zakątek opuścić... Czas upływał.

W PRZYSZŁYM NUMERZE ROZPOCZYNAMY DRUK POEMATU STANISŁAWA PIĘTAKA

„PARTYZANT i DZIEWCZYNA"

List z Ameryki

Drukujemy poniżej korespondencję pisarza chłopskiego, Kazimierza Piotra Nowaka ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, skierowaną do znanego poety Mariana Kubickiego. Korespondencja ta zawiera szereg informacji dla nas, rzecz oczywista, niemożliwych do sprawdzenia, podajemy je więc całkowicie na odpowiedzialność autora. Pisma te zamieszczamy na dowód zainteresowania naszym wydawnictwem na drugiej półkuli.

Redakcja.

Detroit, 2 września 1946.

Panie Redaktorze!

Chciałbym bardzo nawiązać łączność z Wami — i współpracę. Jestem pisarzem chłopskim z grupy H. Czuchnowskiego (sprzed wojny), współpracowałem z „Nową Wsią" i „Nurtami", pisywałem jednocześnie sporo do „Wici", „Gromady Wiejskiej" i innych pism chłopskich. Wojna rzucała mną po całym kontynencie aż rzuciła mnie do USA, gdzie znalazłem wreszcie „spokojną przystań". Ale do kraju i do swoich się cni. I dlatego chciałbym z Wami współpracować, do Was pisywać. Czy można i na jakich warunkach? Tutaj, w USA, współpracuję z demokratyczną prasą polską — z „Głosem Ludowym" (może znacie naszego redaktora naczelnego A. Podolskiego, który był zimą w Polsce) i z „Gwiazdą Polarną".

Słyszałem, że w Polsce wychodzi pismo pisarzy chłopskich „Wieś" w Łodzi, pod redakcją J. A. Króla, Piętaka, Olchy i Nędzy-Kubińca. Nie znam jednak adresu, a tak go chciałbym mieć — i tak chciałbym naprawdę „Wieś" choć raz przeczytać i z nią współpracować. Czy moglibyście podać jej adres?

Na próbę posyłam Wam moje obserwacje amerykańskie. Mógłbym Wam pisać częściej lub zostać Waszym korespondentem. Odpiszcie mi a wnet! Zechciejcie przyjąć moc życzeń dla Waszej pracy. I dużo, dużo uścisnień dłoni.

Wasz **Kazimierz P. Nowak**

Migawki amerykańskie

Środkowy zachód Ameryki Północnej ma potężne skupiska Polaków w Michigan, Ilinois, Ohio, Wisconsin, Indiana, nie ma miejscowości, gdzieby Polaków nie było. Nawet najmniejsza village (wieś) ma swego polskiego farmera, który gospodarzy po amerykańsku, uprawia ziemię maszynami, ale klnie po polsku, po polsku myśli i mówi i do kraju tęskni tak samo jak wtedy, gdy tutaj przyjechał. W dużych miastach północy — w Buffallo, Toledo, Detroit, Chicago, Milwaukee, wyróżniają się dzielnice polskie swoją czystością i porządkiem, wbrew zakłamanej, podstępnej propagandzie niemieckiej.

Pierwszą rzeczą, która odstręcza od na przeciętnego Amerykanina tutaj — to klerykalizm. Niestety, Polacy w USA są klerykalni. Żadne dzielnice nie mają takich potężnych przygniatających kościołów, jak właśnie polskie. Nawet bardzo zabobonni Irlandczycy nie wkładają wszystkich swoich oszczędności w budowę kościołów. W dzielnicach czysto amerykańskich, kościoły wyglądają jak czyste małe wille. Nie wyróżniają się niczym od otoczenia, nie narzucają. Wielka biała tablica świadczy o tym, że to jest właśnie Dom Boży. Kościoły polskie przytłaczają po prostu otoczenie, ogromne, niegustowne.

Czy nie jest to przypadkiem symbolem naszej polskiej rzeczywistości? Czy my, Polacy przypadkiem nie jesteśmy za dużo rzymscy? — Watykańscy? — Amerykanie nasuwają ten zarzut w każdej rozmowie. I nieszczęście Polski widzą w klerykaliźmie, w „kościelnictwie", który przytłacza myśl polską.

— Ja nie potrzebuję być w Polsce — powiedział mi jeden z tutejszych Amerykanów — aby ocenić jak Polska jest klerykalna. Wystarczy mi popatrzeć na Hamtramck czy „polish west side"...

Tak to prawda. **I ten klerykalizm szkodzi Polsce Ludowej.** Czyni wszystko, aby tę Nową Polskę zdyskredytować i poniżyć. Z pism katolickich tutaj jedynie „Przewodnik Katolicki" broni obecnej Polski. Wszystkie inne napadają na Polskę w sposób więcej niż haniebny. I więcej posłuchu ma osławiony ks. Justyn z Bufallo i Sikora z Boston — jak biskup Woźnicki, proszący o pomoc dla Polski „mimo wszystko", czy odważny ksiądz Orlemański piętnujący wrogów demokracji w sposób bezwzględny. Księdza Orlemańskiego okrzyczeli po prostu wszyscy proboszczowie jako „bolszewika" a „Przewodnik Katolicki" jest na indeksie. Dlatego, że pisał prawdę o Polsce. Tylko, że w Ameryce ludzie nic sobie nie robią z watykańskich zakazów.

Polska mogłaby wyglądać inaczej, gdyby Polonia Amerykańska zajęła inne stanowisko. Niestety, stary senator Matuszewski, chwalący ihtlera i zwalczający w swoim czasie gen. Sikorskiego, potrafił opanować umysły 80 proc. Polonii. Kongres Polonii Amerykańskiej, to organizacja antypolska, która ma na celu zwalczanie państwa polskiego tam, gdzie się tylko da. Prasa KPA, która jest dość silna (czerpie dochody z popierania polityki republikanów i kapitalistów antyroosveltowców) atakuje Polskę coraz to zacieklej. Ale to jest daremne. Bo bój ten KPA już przegrał. Im więcej przychodzi listów z Polski, listów mówiących prawdę o Polsce i proszących o pomoc dla Polski, tym mniej mają zwolenników arcypanowie z KPA. Ludzie odwracają się od nich i słuchać nie chcą o tym, by Polsce nie pomagać — gdy listy mówią co innego.

Bo 95 proc. tutejszej Polonii to chłopi, to ludzie ziemi. A instynkt ziemi mocniejszy jest nad wszystko. I wkrótce przyjdzie dzień, w którym otworzą się oczy tutejszego chłopa. A wtedy i pomoc Polsce ruszy szerszymi torami.

Kazimierz Piotr Nowak.

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWA SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA", 1946:

1) Adam Mickiewicz — **„Grażyna"** str. 76, Adam Mickiewicz — **„Konrad Wallenrod"** str. 107; Juliusz Słowacki — **„Kordian"** str. 170; Kazimierz Brandys — **„Miasto Niepokonane"** str. 287; Wanda Żółkiewska — **„Kobiety z Limbach"** str. 159; Boy — **Słówka"** str. 342; Balzac **„Cierpienia wynalazcy"** str. 232; Adolf Rudnicki **„Lato"** str. 188; L. Kielecki **„Wieś Polska na nowych drogach"** str. 29; W. Nikolski i N. Jakowlew **„Jak ludzie nauczyli się mówić"** str. 54; Wacław Zawadzki **„Od Monachium do drugiej wojny światowej"** str. 41; Józef Litwin **„Prawo o aktach stanu cywilnego, jego geneza i zasady przewodnie"** str. 34; Stanisław Strzelbicki **„Stosunki prawne nieobecnych i zaginionych"** str. 37; A. Kramsztyk i J. Kruszewska **„Odzyskanie majątków opuszczonych"** str. 52; Franciszek Blinowski **„Od panowania karteli ku gospodarce planowej"** str. 37; **Teksty ustaw; „Podatek od wynagrodzeń** str. 33; Fryderyk Engels **„Ludwik Feuerbach — zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej"** str. 86.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. [illegible] ytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—0899?